

ANNA ONICHIMOWSKA

HERA MOJA MIŁOŚĆ

CZEŚĆ PIERWSZA
DOM W OGRODZIE

Najgorsze, że ta historia zdarzyła się naprawdę.

Przeczytałam jej krótki suchy opis i od tej pory prześladowa mnie nocami.

Nie uwolnię się od niej, póki jej sobie nie wyobrażę w najdrobniejszych szczegółach.
Póki jej Wam nie opowiem.

Składam ten świat po kawałku, ponieważ lustro, w którym się kiedyś odbijał, rozsypało się w drobny mak. Bo wystarczy, że zabraknie jednego kawałka puzzli, a obraz nigdy nie będzie kompletny.

MATKA

Imię: Grażyna. Nazwisko: Niwicka. Mężatka. Wzrost: 167, oczy piwne, znaków szczególnych brak.

- Co to znaczy „znaków szczególnych brak”? - sylabizuje Michał. Od kiedy nauczył się liter, czyta wszystko, co wpadnie mu w rękę.

- Dokładnie to, co jest napisane. Że nie mam w twarzy niczego, czego nie mają inni ludzie... - próbuje mu tłumaczyć.

- Na przykład dwóch nosów? - śmieje się Michał.

- Na przykład blizny...

Zerka do lustra. Jej twarz jest doskonała. Gdyby nawet zdarzyło jej się coś takiego, na pewno by to usunęła, nowoczesna chirurgia plastyczna czyni cuda...

Słyszy, że Michał jeszcze coś mówi, ale ona nie ma już czasu.

- Idź z nim na spacer - prosi Nataszę, a sama poprawia pomadką usta i biegnie do samochodu.

- Na którą mam przygotować kolację? - goni ją głos gosposi.

- Jem dzisiaj na mieście. Nie czekajcie na mnie...

Pilot do garażu znów się zacina, wreszcie jednak wyłania się jej cacko, otwiera dach, przy takiej pogodzie szkoda jeździć z zamkniętym, i wolno rusza, przypalając papierosa. Dodaje gazu dopiero za bramą, prowadzenie sprawia jej przyjemność. W lusterku łapie spojrzenia kierowców, bawi się nimi, lubi startować, wyprzedzając wszystkich o kilka długości.

Na siłownię ma dzisiaj niecałą godzinę.

Rozciąga sprężyny, pedałuje, jakby miała dojechać na koniec świata.

- Nie przyjemniej na rowerze? - zagaduje ją trener. Wymieniają się uwagami o braku ścieżek rowerowych, on upiera się jednak, że zna fajne miejsce do pojeżdżenia, gdyby miała ochotę, mógłby jej towarzyszyć. Odmawia z wdziękiem, przez chwilę wiosłuje, ćwicząc mięśnie biustu, potem przysznic, makijaż, papieros i znów siedzi w samochodzie.

Tym razem zasunęła dach, to w końcu tylko kwiecień.

Dzwoni telefon. Jej mąż, z Londynu.

- Cześć, kochanie. Gdzie jesteś?

- Jadę na kolację z klientem.

- Mam być zazdrosny?

- Nieważne, co powiem, i tak będziesz... - śmieje się, a potem rozmawiają o tym, co u niego.

Klient jest potentatem proszków do prania. Chodzi o niebanalną kampanię reklamową. Grażyna jest w tym najlepsza.

Przy deserze uzgodnili już wszystko, wygląda na zadowolonego, ale nie czułby się mężczyzną, gdyby nie zaproponował kontynuacji wieczoru.

- Nie miesiam kontaktów prywatnych z klientami, choćby byli najbardziej sympatyczni... - wygłasza przemyślaną odpowiedź, tę samą od zawsze, dla wszystkich za bardzo wyrywanych.

I znów samochód, papieros, po drodze włącza kasetę z hiszpańskim, postanowiła się nauczyć jeszcze tego języka.

W salonie pali się światło, u Jacka też, tylko u Michałka ciemno. Skarb z tej Nataszy - myśli Grażyna, otwierając drzwi.

Natasza ogląda telewizję.

- Iść do swojego pokoju? - pyta, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Możesz obejrzeć do końca - zgadza się Grażyna, chociaż nie lubi, kiedy Natka przesiaduje tu wieczorami. Ma u siebie telewizor.

Potrzebuje całkowitego relaksu. A ten kojarzy jej się z jacuzzi.

- Z chłopcami wszystko w porządku? - pyta na wszelki wypadek.

Natasza przytakuje, zapatrzona w ekran.

Grażyna waha się przez chwilę, czy nie zajrzeć do Jacka, ale nie ma ochoty na rozmowy, tylko na kąpiel w bąbelkach, dobrego papierosa i klasyczną muzykę.

- Idę na dół - rzuca. - Nie przełączaj telefonów. Dobranoc...

Musi być następnego dnia w agencji punkt dziewiąta. Zastanawia się, jak radzą sobie pracujące kobiety z dziećmi, za to bez gosposi, jednak te myśli są, mało zabawne, a może jej wyobraźnia pracuje wyłącznie w określonych rejestrach.

Przypomina sobie dom rodzinny, ciasnotę i zabieganą matkę artystkę. Podobno jest dobra, ale zawsze bez forsy. Grażyna postanowiła być dobra w tym, na czym można zarobić. Do dziś czuje wieczny zapach terpentyny i oleju, wiszący w ich małym mieszkanku. Matka prowadziła warsztaty plastyczne, od czasu do czasu udawało jej się sprzedać jakiś obraz, ale większość z nich piętrzyła się w stosach po kątach, a na ścianach nie było wolnego centymetra. Ojciec był rzadkim gościem, wyprowadził się z domu, kiedy była jeszcze mała. Grażyna podziwiała w telewizji bogate wille w zieleni ogrodów, a w nich zadbane kobiety

sukcesu z uregulowanym życiem rodzinnym. Będę jedną z nich - przysięgła sobie na osiemnaste urodziny.

Jutro po pracy wrócę prosto do domu - postanawia, owijając się szlafrokiem. - Wyjedziemy wszyscy razem po Kamila na lotnisko, będzie miał niespodziankę.

Gdy wraca do salonu, widzi migające światełko sekretarki. „Zadzwoń, proszę - słyszy głos siostry. - Przed północą nie pójdę spać”.

Pewnie znów chce pożyczyć forszę - myśli Grażyna złośliwie, ale wykręca numer.

- Dzięki, że dzwonisz - słyszy głos Ewy. - Chciałam się ciebie poradzić. Wyobraź sobie, znalazłam u Justyny tabletki antykoncepcyjne. Jestem wstrząśnięta.

- Wcześniej zaczęła... - Grażyna ziewa. - Ile ona ma lat? Czternaście?

- Widzę, że nic cię to nie obchodzi. - W głosie Ewy brzmi uraza. - A jesteś w końcu jej ciotką.

- Obchodzi - kłamie Grażyna - tylko jestem zmęczona. Przypomnij mi, ile ma lat.

- Piętnaście.

- Powinnaś się cieszyć, że się zabezpiecza - mówi, przypalając papierosa. - To znaczy, że jest rozsądna. Oczywiście, możesz z nią porozmawiać, ale spokojnie...

- Łatwo ci mówić, masz chłopaków...

Michałek miał być dziewczynką - myśli Grażyna, odkładając słuchawkę. Może lepiej, że nie jest. Z chłopcami chyba rzeczywiście jest mniej kłopotów. Próbuje sobie jakiś przypomnieć. Ach tak, raz bawił się piłką z synem sąsiadów i stłukł szybę. No i kiedyś uparł się, żeby mieć kota. Pufek był u nich trzy miesiące, ale dał kanapy i firanki. Bała się, że z czasem może być jeszcze gorzej. Koty bywają złośliwe. Słyszała historię o takim, który załatwiał się do butów właścicieli. Pchły, kuwety, weterynarze, mowy nie ma - zdecydowała wreszcie i, wykorzystując zakatarzenie Miśka, wmówiła rodzinie, że mały ma uczulenie na sierść. Pufka oddała w dobre ręce i od tej pory ma spokój. Michał rozpaczał przez tydzień, a potem przestał o tym mówić.

A Jacek? Jest już prawie dorosły... Siedemnaście lat... Dobrze się uczy, ma fajną dziewczynę, za rok pewnie zda na studia...

Jak bajek o żelaznym wilku słuchała opowieści o aroganckiej młodzieży, konfliktach z rodzicami. Jej dzieci były dobrze wychowane. Mówiły „proszę, dziękuję, przepraszam”, umiały zachować się przy stole. Wiedziały, że należy ustępować miejsca starszym. Były posłuszne.

Jej siostra zawsze miewała jakieś kłopoty z Justyną.

Dobrze, że mam synów - myśli Grażyna, przeciąga się z zadowoleniem, ostatni

papieros i idzie do łóżka.

OJCIEC

Imię: Kamil. Nazwisko: Niwicki. Żonaty. Wzrost: 182, obywatelstwo polskie.

Urzędniczka wydziału paszportów patrzy na niego ponownie, skądś zna tę twarz i to nazwisko, ale nie może sobie przypomnieć skąd. Dopiero po drodze do domu, wertując ponownie gazetę, widzi wywiad i zdjęcie.

Człowiek sukcesu, prezes rady nadzorczej dużego koncernu, hobby: tenis, problem: brak czasu, stosunek do kobiet: partnerski, ideał kobiety: oczywiście żona, ocena życia rodzinnego (skala od jednego do sześciu) - pięć z plusem. Dlaczego nie sześć? Za rzadko się widzujemy. To może dlatego aż pięć z plusem? Kto wie... Kłopoty z dziećmi? Że tak szybko rosną.

Kamil zdejmuje z taśmy torbę, jak zwykle moment szczęścia, że jest, nigdy nie zapomni, jak kiedyś w Australii został przez tydzień w jednym garniturze... Ale ktoś wyrывa ją mu z ręki, no dobrze, pomyliłem się, o co chodzi. Za trzecim trafieniem - bingo. Ociera spocone czoło.

- Skoczmy jeszcze na jednego? - nęci Kamila Piotr, jego prawa ręka, ale Kamil czuje, że z trudem trzyma pion, więc mówi nie.

Drzwi dzielące świat podróży od codziennego rozsuwają się.

- Ale masz komitet powitalny... - W głosie Piotra brzmi zazdrość, na niego nikt nie czeka.

Kamil w tłumie wyławia twarz żony, obok niej synowie, dlaczego jest ich trzech?

- Co za niespodzianka! - stara się, żeby nie było widać, jak podle się czuje. - Dobrze, że po mnie wyjechałaś, kochanie! - Ściska Grażynę, Michałek wyciąga ręce. - Lepiej, żebym cię nie podnosił, bo mam w głowie karuzelę. - Mierzwi mu włosy, Jacka klepie po ramieniu, trzeci syn na szczęście rozwiął się jak mgła.

W samochodzie przymyka powieki, słyszy, że coś do niego mówią, ale nie może się skoncentrować, odpływa.

Kiedy otwiera oczy, jest już dzień. Leży w łóżku. W ubraniu. W głowie łupie mu obrzydliwie. Z trudem przypomina sobie wydarzenia wieczoru, ostatnie, co pamięta, to szamotanina przy taśmie bagażowej.

Spojrzenie na zegarek stawia go na baczność. W domu panuje cisza, o niedawnej obecności Grażyny świadczy jedynie dym z niedokładnie zgaszonego papierosa.

Szybki prysznic, jego twarz w lustrze jest trochę wymięta, ale nic na to nie poradzi.
Dwie aspiryny, woda, dużo wody...

- Nataszko! Kawa, błagam! Piorunem! - woła, czesząc mokre włosy.

Oprócz kawy czekają na niego, jak co dzień, grzanki i jajko w szklance.

Łapie ukradkowe spojrzenia gosposi. Chętnie by jej zadał parę pytań, ona na pewno wie, jak wylądował w domu, ale nie ma już czasu.

- Będzie pan na kolacji? - pada rytualne pytanie.

- Zadzwoń - obiecuje, chwyta teczkę i biegnie do garażu.

Pilot się zacina, jak zwykle.

Powinienem zadzwonić do Grażyny - myśli, ale odkłada to na później. Kiedy już będzie znał rozkład dnia. Kiedy wypije malutką brandy, umysł mu się rozjaśni i język rozwiąże.

Nie powinieneś pić niczego, kiedy prowadzisz - powtarza mu zawsze żona, ale on swoje wie. Nigdy nie prowadzi pijany. Ale trochę alkoholu działa na niego jak na innych mocna herbata. Pomaga mu w koncentracji, wyostrza zmysły.

Zanim dojeżdża do pracy, odbiera pięć telefonów. Czwarty z kolei - to ona.

- Znów się wygłupiłeś - słyszy. A potem Grażyna przypomina mu, jak to było. - Chłopcy nie powinni cię widzieć w takim stanie. Mnie zresztą też nie sprawiło to przyjemności.

- To dlatego, że się boję latania. Chciałem się wyluzować. Przykro mi, naprawdę. - Nie kłamie. Nie znosi takich sytuacji. Lubi panować nad tym, co się dzieje. - Mam dla was prezenty... - dodaje. Zawsze przywozi prezenty. I pierwszy raz po drodze do domu urwał mu się film.

Akurat musiała wyjechać po mnie z dziećmi... Z drugiej strony, strach pomyśleć, co by się mogło stać, gdybym wsiadł do przypadkowej taksówki...

- Nie gniewaj się, dobrze?

- Szkoda, że nie widziałeś miny Nataszy. Musiałyśmy wtaszczyć cię do domu.

- Pogadamy wieczorem... - ucina tę niemiłą wymianę zdań. Światelko miga, że następna rozmowa na linii. - Zadzwoń do ciebie później...

Umawiają się w końcu w domu na kolacji.

- Byłeś pijany - oznajmia mu na dzień dobry jego młodszy syn. Odwraca buzię, kiedy chce go pocałować.

- Ale już nie jestem - próbuje żartować Kamil i wręcza mu play station.

Buzia Michałka rozpromienia się, ale po chwili poważnieje.

- Przrzeknij, że więcej nie będziesz - ciągnie.
- Oczywiście, że nie będę. - Szczerze chce w to wierzyć.

Kamil łapie spojrzenie Jacka, coś mu się w tym spojrzeniu nie podoba. Może mi się coś wydaje - myśli, i daje mu album CD, kupiony w Londynie.

- Nie znam się na tym. - Wzrusza ramionami. - Ale tego podobno teraz słucha młodzież.

- Dziękuję, tato... - Jacek rozrywa papier, przygląda się okładce. - Wygląda ekstra. Nie znam.

- Pokaż... - Michałek wyciąga rękę.

- Zostaw... - Jacek zrywa się od stołu, Michałek go goni, mało nie przewraca Nataszy z tacą, w końcu wyrywa bratu płytę.

- Masz już taką, nie pamiętasz? Też od taty! - wykrzykuje, zapada cisza.

- Dlaczego nie powiedziałeś? - pyta Jacka Kamil.

- Po co? Jest w porządku. Dam komuś w prezencie... Nie przejmuj się...

- Możesz dać mnie. Będę miał dwa prezenty, a ty żadnego... - przekomarza się z nim Michał.

- Mogę - zgadza się Jacek i bierze go na kolana. - A teraz zjadaj... - zaczyna go karmić jak małe dziecko. - Za mamusię... za tatusia...

Michał aż krztusi się ze śmiechu.

Jak dobrze mieć rodzinę - myśli Kamil i znów jest mu przykro, że się wygłupił. Sięga po wino, nalewa sobie i Grażynie, chwilę się waha, patrząc na Jacka.

- Masz ochotę?

- Nie, dziękuję - odmawia syn.

Kolacja jest bardzo dobra. Trochę za ciężka: trudno Nataszę przestawić na inne przyzwyczajenia żywieniowe, ale nie można wymagać za wiele.

Kamil patrzy na Grażynę z przyjemnością: wszyscy koledzy zazdroszczą mu takiej żony. Przywiózł jej nowe perfumy. Chciałby, żeby już było po kolacji i żeby mógł powąchać, jak na niej pachną.

Grażyna zerka na zegarek.

- Za pół godziny wpadnie na kawę Ewa - mówi, a dobry nastrój Kamila rozwiewa się jak dym.

- Dzisiaj? - pyta z niedowierzaniem.

Jacek dziękuje za kolację i wstaje od stołu.

- Chodź... - obejmuje Michałka - pogramy w jakąś twoją grę.

Kamil patrzy za nim z wdzięcznością, chciałby być z żoną choć przez chwilę sam.

MICHAŁ

- Nawet nie można odczytać, jak się nazywam, zobacz! - pokazuje Michałek bratu swoją legitymację szkolną. Natasza wyprała mu ją razem z kurtką.

Jacek ogląda wyblakły kartonik.

- No to koniec. Nie ma cię. - Rozkłada ręce i robi małpią minę.

- Jestem! - denerwuje się Michał. - Jutro będę miał nową, zobaczysz.

- Ale dzisiaj cię nie ma - droczy się z nim Jacek. Nagle widzi, że bratu zbiera się na płacz. Tego się nie spodziewał. - Zrobimy ci zaraz dokument tożsamości. - Udaje, że niczego nie zauważył. - Znajdź jakieś zdjęcie.

Michał przynosi cztery albumy.

Otwiera pierwszy z brzegu.

- Zobacz! - Śmieje się. Na zdjęciu półroczny bobas w wanience bawi się kaczką.

- To nie ty, tylko ja - mówi Jacek. - A poza tym to musi być zdjęcie aktualne, a przynajmniej takie, żebyś był do siebie podobny.

- Wiem...

Temu Jackowi to się czasem wydaje, że ja nic nie rozumiem - myśli Michał. Ale to dziwne, że człowiek tak bardzo się zmienia. Nie do poznania. Ciekawe, jak będę wyglądał w wieku Jacka. Czy będę do niego podobny. Albo jak się stanę taki dorosły jak tato. Próbuje sobie wyobrazić siebie z teczką i w garniturze.

- Coś tak się zamyślił? - szturcha go Jacek, więc mu mówi, chociaż nie jest to łatwe.

Jacek też nie umie sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał za dwadzieścia lat. Przerzuca kartki kolejnego albumu.

- Może to? - Pokazuje zdjęcie, na którym Michał moczy w jeziorze wędkę.

- W legitymacji jest zawsze tylko głowa - protestuje Michał.

- Nie ma sprawy. Daj nożyczki. I jakiś karton. - Jacek chętnie by już zajął się swoimi sprawami, ale nie chce zostawiać Michała w poczuciu bezradności. - Wkrótce zrobię ci nowe zdjęcia. Teraz nie mogę: właśnie skończył mi się film.

Michał patrzy, jak Jacek robi mu nową legitymację.

Imię: Michał. Nazwisko: Niwicki. Wzrost: metr w kapeluszu...

- W legitymacji nie ma wzrostu! A poza tym mam już sto trzydzieści cztery! - krzyczy. - Wpisz tylko adres i szkołę. No i że chodzę do pierwszej klasy...

Michałek ogląda nową legitymację, czegoś mu jeszcze brakuje.

- A stempel? - pyta.

- Podstemplujesz jutro w szkole... - mruga do niego Jacek. - No, pobaw się teraz trochę sam...

Michał patrzy, jak brat wstaje.

- Idziesz popalić? - Chce go jeszcze zatrzymać choć przez chwilę.

Jacek zamienia się w słup soli.

- Wiesz, co się dzieje z takimi, co podsłuchują i podglądają? - rzuca groźnie, a mały kręci głową, - Wyrastają im ośle uszy i trzecie oko. Na środku czoła.

- Będę lepiej widzieć - odgryza się Michał i wygląda przez okno. - Idę na dwór - oznajmia, widząc za ogrodzeniem Krzysia, swojego kolegę z sąsiedztwa.

- Ubierz się! - słyszy za plecami głos brata, ale już pędzi do wyjścia.

- Ty gdzie? - Natasza zastępuje mu drogę.

Tłumaczy, że tylko do ogródka, a ona zapina mu kurtkę.

Czuje na buzi ciepły wiatr. Pokrzykuje do Krzysia, żeby do niego przyszedł, i już po chwili stoją naprzeciwko siebie. Najpierw rzucają piłką do kosza, który zawiesił Kamil, ale ani razu nie udaje im się trafić.

- Za duży wiatr - wyrokuje Krzyś i kuca przy wystającym z ziemi przedmiocie. - Co to jest?

- Odstraszacz kretów... - szepcze, nie wiadomo dlaczego, Michał. - Mama się złości, że niszczą trawnik. Wcześniej próbowała je wytruć. I się dziwiła, że one się nie dały. A to dlatego, że ja wyjmowałem te trucizny i wyrzucałem na śmietnik.

- Coś ty? - Oczy Krzysia ogromnieją z wrażenia.

- No pewnie. Nie dość, że taki kret łązi ciągle pod ziemią i nic nie widzi, to jeszcze go truć? Nie podoba mi się to. A jak się człowiek z czymś nie zgadza, to należy reagować, tak nam mówiła pani. - Michałek po chwili wyciąga z ziemi odstraszacz. - To mi się też nie podoba. Nie chcę, żeby się bały.

- Jak będą się bały tutaj, to przeleżą do naszego ogródka... - zastanawia się Krzyś, a Michał po namyśle wkopuje odstraszacz z powrotem. - I wtedy moja mama kupi odstraszacz i one wrócą do was. I tak będą łąziły w kółko, aż dostaną kręcka.

Michał zamyka oczy. Wyobraża sobie, że jest kretem, że biega w ciemności, a dookoła wszystko dudni.

- Już wiem! Powyłączam baterijki. Bo jak te pozabieram, to się wyda...

Krzysia woła mama na obiad, a Michał zostaje sam.

Kiedy już zapewnił kretom ciszę, wspina się na plastikowy kubeł i zagląda do kuchni. Nie dzieje się tam nic ciekawego. Natasza kroi warzywa i gapi się w telewizor. Mama kupiła taki mały, specjalnie dla niej, bo Natka zawsze powtarza, że ona bez telewizora to jak bez ręki. A mamie zależy, żeby Nataszy rąk nie brakowało.

Michał przesuwa kubeł pod pokój Jacka. Szkoda, że nie ma Danki - myśli. Danką to dziewczyna Jacka. Kiedyś widział, jak się całowali, a nawet jak Jacek rozpiął jej bluzkę. Może by zobaczył więcej, ale akurat wtedy wróciła mama.

Jacek napełnia bibułki czymś, co trudno z tej odległości zobaczyć, i robi papierosy. Ciekawe, dlaczego nie kupuje gotowych, jak mama. Muszę go kiedyś zapytać - myśli Michał.

Ale wtedy przypomina sobie, co Jacek mówił o takich, co podsłuchują i podglądają. Trudno by mu było się wytłumaczyć ze swojej wiedzy. Na wszelki wypadek dotyka ostrożnie uszu, ale nie czuje, żeby urosły.

O, mama - cieszy się, widząc wjeżdżający samochód, i biegnie, żeby się przywitać.

- Cześć, Misiu... - Mama całuje go w locie i biegnie do domu.

Michał nie odstępował jej na krok.

- Nataszko, wyprasowała pani moją bluzkę?!

Ach tak, zaraz znów wyjdzie...

- Obiecałaś mi, że pójdziemy do kina... - zaczyna marudzić. Wcale nie ma ochoty na kino, ale chce z nią pobyć.

- Nie mówiłam, że pójdziemy dzisiaj... - Mama przebiera się szybko. - Ale jeśli chcesz, poproszę Natkę. Albo Jacka. Jeśli ma czas...

Michał lubi Nataszę. Opowiada mu często historie ze swojego dzieciństwa, są dla niego ciekawsze od bajek. Natasza gra z nim w różne gry, tylko do komputera nie chce się zbliżać. Ale do kina wolałby pójść z Jackiem, co brat to brat.

- Jacka - mówi Michał.

Przygląda się, jak mama szcnotkuje włosy i przypala długą, cygaretkę. Ma na końcu języka wiadomość, że jego brat sam umie robić papierosy, ale coś go powstrzymuje. Musi się go spytać, czy to jest tajemnica.

JACEK

Imię: Jacek. Nazwisko: Niwicki. Obywatelstwo: polskie.

Danka ogląda paszport Jacka, ile w nim stempli! Dobrze mieć dzianych starych - myśli, patrząc z zazdrością za okno. Rozległy trawnik, różane krzaki, skalny ogródek, oczko wodne...

- Kupię ci na imieniny w prezencie krasnala - mówi złośliwie, gdy Jacek wchodzi do pokoju z kartonem soku.

- Krasnala? - Jacek marszczy brwi, nie załapał, o co jej chodzi.

- Pół metra ogrodowego krasnala. Na większego nie będzie mnie stać.

- Masz prawie rok na ciułanie. Jakoś uskładasz. - Staje obok niej i całuje ją w odłoniętą szyję. Danka upina włosy, odkąd jej powiedział, że w takim wydaniu podoba mu się najbardziej. - Kiedyś oglądałem na Discovery program o krasnalach. Wiesz, że są całe rzesze ich fanatyków i kolekcjonerów? Niesamowite, jak można zaśmiecać przestrzeń takim paskudztwem... - Wyjmuje paszport z jej rąk. - Skąd go masz?

- Z twojej szuflady - przyznaje Danka. - Rozglądałam się za trawką.

Jacek rozlewa sok do szklanek, a dziewczyna wkłada dłoń pod jego bluzę.

- No, daj mi zapalić... - mruczy, ciągnąc go na kanapę.

Jacek jest zachwycony, że ona tak to lubi. To Danka mnie nauczyła wszystkiego - myśli czasem i nie może uwierzyć, że trafił mu się taki skarb. Zawsze był dość nieśmiały. Sam z siebie nigdy by się nie odważył do niej zbliżyć. Pół roku temu, na prywatce u Teresy, zaczęli razem tańczyć. Potem namówiła go na skręta. Trochę się opierał, kiedyś podkraść papierosa matce, żeby spróbować, i wydał mu się ohydny.

- Ten papieros jest inny, zobaczysz, że ci się spodoba... - kusiła tak długo, aż zapalił.

Nie był pewien, czy mu smakował, raczej nie. Ani ten, ani żaden z następnych. Ale poczuł się bardziej wyluzowany niż kiedykolwiek przedtem. Mógł ją teraz całować, a nawet dotykać w ciemności. Tydzień później odwiedziła go w domu, wypalili po trawce i wtedy zrobili to po raz pierwszy. Od tej pory maryśka kojarzyła mu się ze spełnieniem. Starał się zawsze mieć chociaż kilka skrętów, dla siebie i dla Danki. Czasami wydawało mu się, że maryśka sprawiała jej jeszcze większą przyjemność niż seks.

- Pójdziemy w piątek do kina? - spytał, kiedy już się ubrali i Danka sięgnęła po kolejną trawkę. Miał ochotę powiedzieć jej, że za dużo pali, ale ugryzł się w język. On też nie

lubił słuchać uwag pod własnym adresem. - Jest przegląd francuskiej nowej fali.

- I impreza u Bartka, zapomniałeś?

- Mam ochotę na ten maraton. Trzy kultowe filmy ostatnich lat. - Danka sprawiała wrażenie, że go nie słucha, więc ją objął i przyciągnął do siebie. - Posiedzimy sobie koło siebie po ciemku, będzie super, zobaczysz...

- Wolę iść do Bartka - oznajmiła stanowczo.

- Mamy jeszcze dwa dni, żeby się zastanowić... - powiedział ugodowo.

- Ja już się zastanowiłam - ucięła, zbierając się do wyjścia.

Jak sobie chcesz - pomyślał ze złością. Nie jesteśmy syjamskimi bliźniętami. Każdy robi to, na co ma ochotę. Ale nie powiedział tego głośno, tylko sięgnął po aparat i zrobił zdjęcie jej upartej twarzy.

- Czub z ciebie. - Wzruszyła ramionami, a on pstryknął jeszcze dwie fotki dla uwiecznienia chwili.

Chodzili do tej samej szkoły, do różnych klas. Wszyscy wiedzieli, że są parą, i to napełniało Jacka dumą. Chłopaki mówili o Dance, że jest superlaska. Fajnie się z nią gadało, dużo czytała, jeździła konno. Szkołę traktowała jako zło konieczne, ale radziła sobie nie najgorzej.

Nie we wszystkim się zgadzali, ale to było nawet ciekawsze. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Jacek zamierza w przyszłości studiować psychologię. Sama chciała iść na zarządzanie.

- Na tym nie zrobisz kasy. - Wzruszała ramionami. - Praca to nie hobby.

Jacka najbardziej interesowali ludzie. Przyglądał im się wszędzie, z zachłanną uwagą. Na ulicy, w szkole, na imprezach, w domu. Jacy są wobec siebie i jacy, kiedy im się wydaje, że nikt na nich nie patrzy. Polował na takie chwile, uzbrojony w aparat, i pstrykał zdjęcie za zdjęciem. Rozwieszał je potem u siebie na ścianie, wisiały wiele dni, zanim wybrał najlepsze. Najwięcej było portretów. Wyobrażał sobie, co się kryje za tymi twarzami, jaką opowiadają historię.

Czasami łączył ze sobą zdjęcia różnych ludzi i zastanawiał się, co by się mogło między nimi zdarzyć. Próbował raz włączyć do takiej zabawy Danke, ale nie dała się wciągnąć.

- Kto to jest? - spytał go raz Michałek, wskazując zdjęcie starego mężczyzny w wełnianej czapce.

- Zgadnij... - Był ciekaw, co brat wymyśli.

- Nasz dziadek? - spytał mały, a Jacek przytaknął. - Gdzie on mieszka? Dlaczego do

nas nie przyjeżdża?

I tak Jacek stworzył Michałkowi dziadka, którego chłopiec nie mógł poznać, bo obydwaj już zmarli. 'Wymyślił dziadka rybaka, który pływa na kutrze daleko na północy. Czasami potem tego żałował, ale nie mógł się już wycofać.

- Robisz mu wodę z mózgu... - złościła się Grażyna. - Macie pełną rodzinę, dlaczego sądzisz, że brakuje mu do szczęścia dziadka?

Jacek miał wtedy na końcu języka, że jemu też brakuje silnego mężczyzny, z którym mógłby pogadać. Ojciec się do tego nie nadawał.

Kiedyś Jacek powiesił naprzeciwko siebie zdjęcia ojca i matki i zaczął się zastanawiać, jak to między nimi jest. To matka była tu szefem. To ona wszystko trzymała żelazną ręką. Nie wiedział, czy to lubiła, czy nie miała wyjścia. Ale przecież kiedyś wybrała tego mężczyznę. Czy był wtedy inny? A ona? Jaka ona była?

Przygląda się twarzy sprzed dwudziestu lat.

Na ile ludzie się zmieniają, a na ile grają inne role? Patrzy na swoje stare zdjęcie, już nie pamięta, czy był wtedy podobny do Michała?

Jego babcia maluje portrety. Przedstawia ludzi, jak sama ich widzi, nie stara się oddać obiektywnego obrazu, o ile w ogóle coś takiego istnieje. Wszyscy są jakoś do siebie podobni, pewnie poprzez babci styl, jej ulubione kolory.

Twarz najdokładniej można zobaczyć na ekranie. Dlatego Jacek kocha kino. Teatr też, ale kino bardziej.

Studiuje siebie w lustrze. Wysoki, chudy, lekko przygarbiony, włosy ściągnięte w kucyk, twarz jak twarz. Najgorsze jest to, że jestem nijaki - myśli. Nie mógłbym być aktorem, bo nikt by mnie nie zapamiętał. Nie mógłbym też być reżyserem, bo... przypomina mu się krytyka jędzy polonistki:

- Nie jesteś twórczy - stwierdziła po jakiejś pisemnej pracy, której temat nie obszedł go ani przez moment.

- Przeciętniak... - Wykrzywia się do siebie, a szklana tafla pokrywa się mgiełką, jego oddechu. - Możesz tylko podglądać innych, budować z tego wiedzę.

- Ty w ogóle nie wierzysz w siebie - powiedziała mu kiedyś matka.

Rzadko ze sobą rozmawiali i może właśnie dlatego to zdanie utkwiło mu w pamięci.

Kiedy palił, wydawało mu się, że może przenosić góry, jego marzenia stawały się odważniejsze i wszystko miał na wyciągnięcie ręki. Ale potem było znów jak zwykle.

NATASZA

- Natasza Gubczenko - dyktuje Natka śpiewnym głosem w gabinecie stomatologicznym. - 28 lat. Adres? Ale który? Tutaj czy na Ukrainie?

Od tygodnia bolał ją ząb. Robiła okłady z octu i z lodu, ale nic nie pomagało. Pierwszy zauważył Michałek.

- Boli cię coś? - spytał, a kiedy przyznała, powtórzył matce.

Pani Grażyna od razu umówiła ją na wizytę do dentysty i dała pieniądze. O te pieniądze to Natce chodziło najbardziej. Wie, że jak boli, to trzeba iść do lekarza, ona tylko się boi, żeby nie wysłać swoim mniej, niż powinna.

Co miesiąc dostają od niej sto pięćdziesiąt dolarów, wszystko, co zarabia. Dobrze, że może nosić ubrania po pani Grażynie. Jest co prawda niższa, ale podwinąć tu i ówdzie zawsze można. No i wysyła rzeczy po Michasiu. To, z czego wyrasta, gry, które mu się znudziły, zabawki...

Lekarka pyta się, czy chce zastrzyk znieczulający, a ona kiwa głową. Kiedy jest już po wszystkim, wydaje się jej, że ma nieruchomą połowę twarzy. Trochę się tego boi, ale uspokajają, że za godzinę będzie dobrze.

Odbiera Michałka ze szkoły.

- Idziemy dziś prosto do domu - tłumaczy małemu - bo byłam u dentysty.

Wciąż ma wrażenie, że niewyraźnie mówi. Zawsze Michałek zdaje jej relację, jak było w szkole, a ona mu - jak w domu. Co posprzątała, jak się goniły ptaki i co widziała w telewizji. Jej synek jest rok od niego młodszy. Czasami Natasza myśli, że gdyby nie Michałek, toby tu nie wytrzymała z tęsknoty. A tak, to ma go jakby na zastępstwo. Saszką zajmuje się babcia. No i ojciec, czyli jej mąż, Jura, po robocie.

- Rzuć to, Nataszka, wracaj. Smutno nam bez ciebie - powtarza w kółko.

- Jak zarobię na mieszkanie - mówi ona.

A potem sobie wyobraża, jak to kiedyś będzie. Dwa albo i nawet trzy pokoje z balkonem, łazienka i kuchnia. Każdy może od siebie odpocząć, ale i być blisko. Bo tutaj... Natasza zarzuca sweter, chociaż nie jest chłodno. Oni się tylko mijają - myśli. Ciągłe gdzieś pędzą, a nawet kiedy są na miejscu, każdy zamyka się u siebie. Tu nigdy nie ma otwartych drzwi... Wędruje wzrokiem ku pokojowi Jacka, jest u niego ta dziewczucha, jej to Natasza nie lubi. Ona ma złe oczy, dziwne, że Jacek tego nie widzi. Ma tyle zdjęć na ścianach, Natasza

przygląda się im, kiedy u niego sprząta, są też i jej zdjęcia, tej Danki, gdyby uważnie popatrzył... Pewnie zwraca uwagę na co innego - myśli Natasza i uśmiecha się pod nosem na wspomnienie własnych siedemnastu lat i swoich chłopaków.

- Natasza... - zagadnął ją parę dni temu - ma pani tyle pracy... ja sam mogę u siebie sprzątać, naprawdę. Wie pani... bo tak to czasem długo nie mogę czegoś znaleźć... - Patrzyła, jak się płacze i czerwieni. - To znaczy... krępuje mnie to! - wypalił w końcu.

Prasowała akurat koszule Kamila. Odstawiła żelazko.

- Jak sobie chcesz - powiedziała po chwili. - Jeśli pani Grażyna nie będzie miała nic przeciwko temu...

- Proszę jej nie mówić. Co ją to obchodzi, kto sprząta mój pokój...

Niby tak - pomyślała wtedy. Potem, kiedy już to się stało, wspominała tę rozmowę. Zastanawiała się, co by było, gdyby powiedziała „nie”. Albo gdyby poradziła się pani Grażyny. Czy to by mogło coś zmienić. Czy mogłaby czemuś zapobiec.

Ale był to pogodny dzień, leżała przed nią ostatnia do uprasowania niebieska koszula w białe prążki, obiad był gotowy, a za chwilę w telewizji miał się rozpocząć jej ulubiony serial. No i dostała list z domu, taki kochany, taki serdeczny, i zdjęcia Saszki. W taki dzień nie przeczuwa się niczego złego, tylko nuci pod nosem i poprawia w lustrze włosy.

Czasami, kiedy Natasza leży wieczorem w łóżku, to myśli sobie, że się w czepku urodziła. Tak pięknie mieszka, praca lekka, ludzie dobrzy, no i jeszcze do tego pieniądze. Nie to co u niej na wsi, najpierw szkoła, a potem - inwentarz i pole; była nauczycielką w podstawówce, jeździła codziennie do sąsiedniej osady, pięć kilometrów na rowerze.

Nigdy jej się nie śniło, że będzie taka bogata. No i ma za kim tęsknić. Zamyka oczy, wyobraża sobie, że obok niej leży mąż, a w łóżeczku przy ścianie - Saszka. Mama śpi w kuchni, żeby im nie przeszkadzać, kochana mama.

Jak wrócę, urodzę jeszcze jedno dziecko - myśli Natasza. Może trafi się dziewczynka... Bo Saszką mało się nacieszyłam, za mało. Pamięta, jak mu czytała, kiedy leżał w łóżeczku, albo opowiadała bajki. Tutaj opowiada Michałkowi, bo z czytaniem po polsku ciągle ma kłopoty. Dobrze, że Michał ma brata... Nigdy nie widziała, żeby czytała mu mama. Ona w ogóle nie powinna mieć dzieci - myśli o pani Grażynie. Męża pewnie też nie. Bo jak się nie ma dla siebie czasu, to po co to wszystko?

Oni zawsze wieczorami siedzieli wszyscy razem i opowiadali sobie, co się zdarzyło, czasami grali w karty, a czasami każdy zajmował się sobą, ale i tak wiedział, że inni są obok. No i dobrze, że Jura nie zaglądał do kieliszka. Wszyscy się dziwili, że nie pije, a on mówił, że i mu to do niczego niepotrzebne. Ciekawe, do czego jest potrzebne panu Kamilowi?

Kochany Jura! - napisała ostatnio. - *Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja im tutaj wcale nie zazdroszczę, nic a nic. Bo po co komu taki wielki dom? Czasem przyjmują gości, no to wtedy, rozumiem, ale dla gości dom budować?*

Dalej pisała o chłopcach. Że Jacek nie pozwala wchodzić do siebie do pokoju. I że ma często zaczerwienione oczy. Może czyta po nocach albo za dużo siedzi przed komputerem...

Natasza jest tu już dwa lata. Co trzy miesiące jeździ do swoich. Czasem myśli, jak by to było, gdyby oni ją odwiedzili. Jura i Sasza. Pomieściliby się u niej w pokoju. Ale nie śmie spytać, czy może ich zaprosić.

- Opowiedz mi o Saszy... - prosi kiedyś Michałek. Leży już w łóżku.

Co by tu opowiedzieć nowego - zastanawia się Natasza.

- Opowiedz, jak jadł zielone śliwki... - Chłopiec upomina się o swoją ulubioną historię. Słyszał już ją ze trzy razy.

- To było latem... - zaczyna Natasza. - Saszka miał wtedy pięć lat. Wdrapał się z dziećmi sąsiadów na śliwę, u nich w ogrodzie. Wiedzieli, że nie wolno jeść niedojrzałych owoców, ale bardzo chcieli spróbować. Liczyli, że nikt ich nie zauważy...

- I wtedy sąsiad wrócił z pola... - podpowiada Michałek.

- No właśnie... - śmieje się Natasza. - Postanowił dać im nauczkę. Zamknął całe towarzystwo w ciemnej piwnicy. A potem...

- Przebrał się w skórę białego niedźwiedzia... - Michałek aż piszczy z emocji. - I wszedł tam...

- To kto komu opowiada - Natasza marszczy brwi z udanym oburzeniem - ty mnie czy ja tobie?

_ Ty, ty... - Chłopczyk przytula się do niej.

- Wszedł tam, a oni w krzyk! Tylko Saszka od razu zauważył, że ten niedźwiedź ma gumiaki...

I Natasza całuje Michałka na dobranoc, jak swojego synka.

- Zabierzesz mnie tam kiedyś, na wieś? - goni ją jeszcze jego głos.

POKUSY

Żeby mnie się kiedyś chciało zdarzyć coś takiego, jak Saszce, z tym niedźwiedziem - myśli Michał. Ale tutaj w ogródku nie rośnie ani jedno drzewo, na które można by się wspinać, z owoców są tylko poziomki, a zbieranie zielonych poziomek to nie to samo, co zrywanie śliwek. U Krzyśka jest jeszcze gorzej. Same grządki, nawet pobiegać nie można. Nie mówiąc już o tym, że na pewno nikt w okolicy nie ma niedźwiedziej skóry. Próbuje sobie wyobrazić tatę w niedźwiedziej skórze, a potem ojca Krzysia, ale to wcale do nich nie pasuje. Nawet gumki do nich nie pasują.

Znudzony snuje się z kąta w kąt. Są takie dni, kiedy nie wiadomo, co ze sobą robić. Za oknem siąpi deszczyk, wszyscy są poza domem, tylko Natasza robi porządki w szafach.

- A ty co tak łazisz, Michałek, jak pokutująca dusza? - pyta go z drabiny.

- Wejdę tam do ciebie, a ty mnie wsadzisz na pawlaczu... - wymyśla chłopiec.

- No i co tam będziesz robił?

- Będę siedział. - Wzrusza ramionami. Ta Natasza to czasem zadaje dziwne pytania.

Co można robić na pawlaczu?!

Pomysł przestaje mu się podobać, jeszcze zanim Natasza mówi „nie”.

- Co to jest „pokutująca dusza”? - pyta, a ona próbuje mu wyjaśnić najlepiej, jak umie.

Moglibyśmy się z Krzyśkiem przebrać za duchy, ożywia się Michał. Przypomina mu się strych w domu kolegi, stare meble i pajęczyny po kątach. Tu nie ma nawet strychu. Ani piwnicy - myśli z żalem. Bo co to za piwnica, z sauną, jacuzzi i łóżkiem do opalania? Przydałaby się taka zwyczajna, jeśli już nie taka, jaką widział na filmie (tam nawet mieszkał kot, który wlaźł przez stłuczone okienko!), to chociaż jak u Krzyśka, ze sznurami suszącej się bielizny i zapasami na zimę.

- Mogę iść do Krzysia? - pyta Nataszę, a ona wzdycha, schodzi z drabiny i dzwoni do sąsiadki.

- Nikogo nie ma. - Kręci głową.

Przestraszę Natkę - postanawia Michał i idzie do pokoju po prześcieradło. Zapomniał, że śpi na zielonym.

- Muszę znaleźć białe... - mruczy i wchodzi do Jacka.

Już ma przekreślić kontakt, kiedy przypomina sobie, że tu nie wolno mu przychodzić samemu. Jeśli ktoś wróci, może zobaczyć światło z ogrodu, przez szybę. Nareszcie przyda mi

się latarka - cieszy się i biegnie po jeden z prezentów, które dostał od Mikołaja.

A potem skrada się na palcach i zatacza krążkiem światła esy - floresy. Ze ściany wychodzą na niego zdjęcia dziadka. Ogląda je przez chwilę i przesuwa latarką obok. Widzi nagą panią w zabawnej czapeczce. Pani stoi tyłem. Spod czapki wymykają się długie jasne pasma. To pewnie Danka - myśli Michał. Ciekawe, czy zrobił jej jakieś zdjęcia przodem. Na pewno, tylko są gdzieś schowane... Michał zapomina, po co tu przyszedł. Ogląda biurko i półki. W kącie leżą pisma, a na nich duże koperty.

Serce bije mu mocno. Czuje się jak detektyw. To zupełnie co innego niż zabawa w duchy. O wiele ciekawsze. W pierwszej kopercie są zdjęcia jakichś nieznanomych ludzi. Przerzuca je niecierpliwie. Z drugiej wyłania się twarz Danki, ale tylko twarz. Za każdym razem inna. Uśmiechnięta i skrzywiona, ładna i brzydka, z przodu i z boku. Może ona nie chciała, żeby jej robił inne zdjęcia - domyśla się Michał. Wydaje mu się, że słyszy otwieranie bramy, gasi światło i wygląda przez okno. To wraca Krzys z rodzicami. Zapala znów latarkę i odsuwa jedną z szuflad.

- Michał! - słyszy wołanie Nataszy. - Michałku, kolacja!

Muszę tu wrócić, obiecuję sobie chłopiec i wymyka się z pokoju brata.

- Coś taki czerwony? - dziwi się Natasza i przykłada mu rękę do czoła. Michał zawsze się rumieni, kiedy kłamie. Teraz nie kłamie, ale gdyby Natasza spytała go, co robił, musiałby skłamać, więc jest czerwony na zapas. - Odrobiłeś lekcje?

- Miałem tylko narysować zwierzę - przyznaje chłopiec. - Takie, jakiego się boję.

- I co to jest? Lew?

- Nie... Jak chcesz, to ci pokażę... - Michał odkłada kanapkę i biegnie do pokoju.

- Nie napracowałeś się... - śmieje się Natasza.

Przez karton wije się wstążka węża.

- Mógłbyś mu dorysować jabłko... - żartuje. - No i Adama i Ewę.

Ale Michał nie rozumie, o czym ona mówi. Nie chodzi na religię. Nataszy wcale się to nie podoba.

- Dzisiaj do poduszki opowiem ci o rajy - obiecuję i dotrzymuje słowa.

Kiedy już idzie do siebie, chłopiec długo się wierci i nie może zasnąć. Słyszy, jak domownicy kolejno wracają do domu. Tato głośno się śmieje, a potem włącza muzykę. Mimo że Michał tego nie widzi, może to sobie wyobrazić. Jak ojciec nalewa sobie drinka, przebiera w płytach, a potem chodzi po pokoju i opowiada. A mama leży na kanapie, z nieodłącznym papierosem. To musi być dobre, skoro mamie tak smakuje - myśli Michał. Jutro sam spróbuję - obiecuję sobie. Wie, że dzieci nie palą, ale chce tylko poczuć, jak to jest.

Kiedy wreszcie zasypia, śnią mu się jabłonie ciężkie od dojrzałych jabłek. Po ich pniach wspinają się węże, a na dole nagie kobiety w śmiesznych czapeczkach palą papierosy i jedzą jabłka.

Rano mama odwozi go samochodem do szkoły.

- Śnił mi się raj - mówi Michał. - Ale nie było w nim Adama.

- Pewnie uciekł w obawie przed karą - śmieje się Grażyna. - Mężczyźni są na ogół tchórzliwsi od kobiet.

Ja nie jestem tchórzliwszy - powtarza sobie Michał. I kiedy po południu Natasza ogląda telewizję, otwiera drewniane pudełko, zawsze pełne papierosów, wyjmuje jednego i biegnie do swojego pokoju. Zapomniał o zapalniczce. Znajduje ją w końcu w pokoju rodziców. Ale serial już się skończył i Natasza idzie z nim do parku.

Wiele chłodny wiatr, niebem pędzą ciemne ciężkie chmury.

- Wracajmy... - nudzi Michał. - Zaraz spadnie deszcz.

- Nie jesteś z cukru - odpowiada Natasza.

- Ale mogę się przeziębnić... - Pociąga nosem, udając katar.

- Przeziębisz się, jak będziesz w kółko siedział w domu - mówi Natka, ale zawracają. -

Po powrocie włączę ci saunę, żebyś się rozgrzał.

- Pójdiesz ze mną do sauny? - dopytuje chłopiec.

Chodzi do sauny z rodzicami i Jackiem, ale nigdy z nią.

- Nie... - Natasza kręci głową.

- Dlaczego? - draży Michał. Natka próbuje zmienić temat, ale nie daje za wygraną. -

Wstydzisz się być na golasa?

Natasza śmieje się, próbuje wszystko obrócić w żart, ale Michał swoje wie i nie daje mu to spokoju. Nagle to, jak wygląda Natka bez ubrania, wydaje mu się bardzo ciekawe.

- Sam nie chcę iść do sauny - oznajmia w domu. - Pogram na komputerze... - I biegnie do swojego pokoju.

Zamyka drzwi, przez chwilę nasłuchuje, a potem sięga po papierosa. Wkłada go między dwa palce, jak to robi mama, zapala zapalniczkę, ale ten nie chce się zajarzyć. Ach, prawda, muszę się zaciągnąć - przypomina sobie Michał i wsuwa go do buzi. Po chwili czuje gryzący dym, krztusi się i kaszle, nie może przestać. Zaraz przyłeci tu Natasza... Nie wie, co zrobić z papierosem. Otwiera okno i wyrzuca go na trawnik. W głowie mu się kręci. Że też mama to lubi - myśli ze zdumieniem. Teraz już wie, dlaczego Jacek robi sobie własne. Może mi da kiedyś spróbować, jak go poproszę - przemyka mu przez głowę, chociaż nie bardzo w to wierzy.

MLECZE

Jacek siedział w ciemnej sali kina i myślał o Dance. Projekcja jeszcze się nie zaczęła, przez ekran przelatywały reklamówki. Dziewczyna wydawała się obrażona, że wybrał maraton francuski zamiast imprezy u Bartka. Zauważył, że potraktowała to osobiście. Nie chciała zaakceptować, że wolał spędzić samotną noc, niż być w jej towarzystwie. A przecież próbował namówić ją na ten spektakl.

Nie wiedział teraz, czy naprawdę ma na niego ochotę. Trzy filmy z rzędu, to spora dawka. Ale dwóch z nich pewnie nigdy by nie zobaczył, a recenzje sugerowały arcydzieła... Gdyby go Danka poprosiła, żeby zmienił plany, kto wie, był zawsze wrażliwy na prośby. Ale to nie było w jej stylu. Miała zwyczaj narzucać swoją wolę i nie znosiła sprzeciwu. Czasami Jacek się dziwił, dlaczego jest właśnie z nią. Jakby nie pamiętał, że wyciągnęła po prostu rękę i wzięła go jak jabłko. A jabłka nie mają głosu.

Próbował sobie wyobrazić, że jednak wychodzi z kina i jedzie do Bartka. Czy okazałaby mu, że się cieszy? Potraktowałaby to raczej jak zwycięstwo, jako kolejny dowód swojej władzy.

Czołówka pierwszego filmu przerwała jego niewesołe rozmyślenia. Po dziesięciu minutach z fotela nie ruszyłaby go już żadna siła. Był tam, gdzie być powinien.

Projekcja skończyła się przed trzecią. Po drugim filmie wyszła jakaś para, poza tym wszyscy dotrwali do końca. Jakiś mężczyzna chrapał, co wprowadzało element rozbawienia w momentach dalekich od komizmu.

Jacek, oszołomiony tym, co zobaczy - powiódł wzrokiem po pustoszejącej widowni. Większość oceniał na studentów, reszta - to ludzie starsi. Solo lub parami, przeważnie jednak solo. Spektakl dla cierpiących na bezsenność samotników - pomyślał, wychodząc z kina.

Noc była ciepła, choć bezchmurna. Dostał od matki pieniądze na taksówkę, miał jednak ochotę na spacer. Nie czuł się senny, chciał przemyśleć filmy, wrócić do niektórych scen. Miło by było z kimś o nich pogadać, ale nie był pewien, czy Danka to właściwa osoba.

Do domu miał z pół godziny marszem. Miasto nocą jest zupełnie inne. Przypominało Jackowi trochę teatralną dekorację. Pustą scenę, na której wszystko może się wydarzyć. Światło latarni, przeświecające przez młode listki drzew, nadawało charakter nawet odrapanym ulicom. Wrócił myślami do małego miasteczka w Prowansji, gdzie w jakiejś kafejce dwóch niemłodych mężczyzn popijało absynt, gawędząc o życiu. Wszystko było

filmowane w ten sposób, jakby czas się zatrzymał, jakby ta rozmowa była zawieszona w nieskończonym kosmosie. Ciekawe, co to jest absynt - przeleciało mu przez głowę, kiedy z bocznej uliczki wyszło na niego czterech.

Nie wyglądali świeżo i byli na głodzie. U Bartka bywał kiedyś jeden taki. Rozbiegane spojrzenia, spocone czoła, drżące łapy.

Bez zbędnych dyskusji opróżnił kieszenie. Pięćdziesiąt złotych, to wszystko, co miał. Komórkę zostawił w domu. Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Jeden z nich wahał się wyraźnie, czy mu nie przyłożyć, ale pewnie szkoda mu było energii. Po chwili było pusto.

Gdyby nie wywrócone wciąż kieszenie, miałyby uczucie, że to mu się śniło. Nie padło ani jedno słowo. Prowansalska kafejka rozwiła się jak dym, absynt wyparował, zostały tylko brudne, skąpo oświetlone ulice i czający się w mroku strach.

Ruszył szybkim krokiem. Nie myślał już o filmach, tylko o tym, żeby być wreszcie w domu. Uwalić się w łóżku i zapalić skręta. Żeby się rozluźnić, odpędzić koszmary. Żeby się dobrze poczuć.

Żołądek uwierał jak twardy kamyk. Po prostu jestem głodny - przekonywał siebie, przekręcając wreszcie klucz, ale nie poszedł do kuchni. Nie położył się również, tak jak miał to w planie.

Siedział po ciemku, pałac, wpatrzony w ogród. Oświetlone księżycem i narożnymi lampkami, świeciły w trawie mlecze. Kiedyś zamienią się w dmuchawce - myślał, zdumiony nagle cudem, jaki miał się wydarzyć. A potem z każdej drobinki dmuchawca wyrośnie nowy mlecze. I tak w kółko, do końca świata. Mlecze ogromniały w jego oczach, były teraz złotymi kołami blasku. Wchodził w ten blask, zanurzał się w nim jak w gorącym jeziorze, gdy nagle zaczęło marznąć, a on poczuł lęk. Z trudem wydostał się na brzeg. Od razu zniknęło, porośłe lasem dmuchawców. Były wielkie jak stuletnie dęby. Poprzez ich puchate korony z trudem przedzierało się czarne niebo. I wtedy zerwał się wiatr. Każde nasiono było niebezpieczną strzałą. Uciekał przed nimi, ale nie miał szans. Jedna z nich ugodziła go w głowę.

Obudził go ból. Podniósł czoło z parapetu. W palcach ścisnął wciąż wygasłego skręta. Za oknem dniało. Położył się do łóżka i zapadł w ciężki sen, tym razem bez snów.

Powtórnie otworzył oczy, gdy warkot, którym od dłuższego czasu wibrowała przestrzeń, stał się nie do zniesienia. Zegarek wskazywał południe. Przed domem ojciec chodził z kosiarką. Po mleczach zostały strzępy. Uchowaly się pojedyncze sztuki, przytulone do siatki ze strachu.

Kiedy stał pod prysznicem, wróciły do niego wspomnienia minionej nocy. Chciał skupić się na filmach, ale ekran przysłańiały mu cztery wychudzone postacie. Trzeba nie mieć

roзумu, żeby tak épać - pomyślał z niechęcią. Wszystko ma swoje granice. Nie znosił, kiedy ojciec nadużywał alkoholu, a potem stawał się gadatliwy do niemożliwości. Uważał, że matka za dużo pali. Bał się o Dankę. Dobrze, że ja nie mam skłonności do nałogów - pomyślał, bicząc ciało lodowatym strumieniem. Dopiero on obudził go do końca, przepędził koszmary.

W lustrze zauważył na czole ciemniejszą plamkę. Siniak? No, tak... to ten sen... Sen? A cóż by innego - odpędził nagłe przypuszczenie. Nigdy po trawce nie miewam żadnych wizji. Takie rzeczy zdarzają się po narkotykach. Ale po maryśce? Przypomniał sobie, że kupił nową partię. Ta trawka była pierwsza.

Czuł wilczy głód, jakby nie jadł od tygodnia.

- Jak było? - zagadnęła go matka.

- Super... - powiedział, właściwie nie mijając się z prawdą.

- Nie miałeś problemów z powrotem? Złapałeś taryfę?

- Mhm... - mruknął, zapychając się chlebem. Natasza zrobiła smalec ze skwarkami, coś, co uwielbiał.

Nie ma sensu wprowadzać jej w szczegóły. Na drugi raz nie pozwoli mi na późny powrót. Po co ma się niepokoić. Nic się nie stało - myślał, przyglądając się jej z przyjemnością. Wyglądała o wiele lepiej niż matki jego kolegów.

- Masz jakieś plany? To znaczy... chciałam spytać, czy nie poszedłbyś z Miśkiem do zoo? Obiecałam mu to, a przyjechali znajomi ojca z Francji, zaprosili nas na lunch. Moglibyście potem skoczyć do McDonalda, on to uwielbia, a ty chyba też coś tam sobie wybierzesz...

Jacek widział, że czuje się winna. Mogłaby zrezygnować z tych znajomych - pomyślał z nagłą złością. Ale zanim coś odpowiedział, do kuchni wpadł Michał.

- To kiedy idziemy? - spytał, ciągnąc go za bluzę.

Więc to tak... Popatrzył na Grażynę, a ona uciekła wzrokiem i sięgnęła po papierosa.

- Za pół godziny - powiedział. - Pomóż tacie kosić trawę.

Kamil właśnie wszedł i nalał sobie wody.

- Raczej grabić, bo już skończyłem. Jak było? - zagadnął Jacka, a on powtórzył to samo co przed kwadransem i włożył naczynia do zmywarki.

Przed wyjściem chciał jeszcze zadzwonić do Danki.

- Nie ma jej - usłyszał.

Tę samą odpowiedź otrzymał wieczorem oraz dwukrotnie w niedzielę. I mimo że się przedstawiał i prosił o przekazanie wiadomości, nie oddzwoniła.

SEKRETY

W zoo było tłoczno. Jacek próbował trzymać Michałka za rękę. Jeszcze niedawno żadna siła nie odlepiłaby małego od brata, teraz zachowywał się tak, jakby się wstydził. Lubił, kiedy Jacek szedł z tyłu. Schowam mu się - ogarnęła Jacka pokusa, ale gdy tylko stracił Michała z oczu, przestraszył się i popędził za nim. Chłopczyk stał z bezradnym wyrazem twarzy przed wybiegiem małp. Osiół ze mnie - pomyślał Jacek, wcelował w małego obiektyw i pstryknął zdjęcie.

- No i co, Zosiu Samosiu? - zagadnął go żartobliwie, puszcżając oczko.

- Nic. - Michał wzruszył ramionami i odwrócił się do małp. Dwie z nich kopulowały radośnie, co wprowadziło go w wyraźne ożywienie. - Zobacz! Zobacz!!!! - śmiał się, pokazując je palcami.

Jackowi przypomniało się, jak zastał Michała leżącego przed drzwiami łazienki. Próbował zajrzeć do środka przez niewielki wywietrznik.

- Co ty wyprawiasz? - zagadnął go wtedy, a on zrobił się czerwony jak burak. - Dlaczego podglądasz Nataszę?

To było trudne pytanie. Gdyby Michał umiał na nie odpowiedzieć, na pewno by to zrobił. Ale nie wiedział dlaczego. Pewnie chciał sprawdzić, czy wygląda tak samo jak mama. Bo z mamą i tatą, i Jackiem chodzili do sauny, ale Natasza nie zgadzała się, nigdy na jego towarzystwo. Pomyślał, że pewnie ma coś do ukrycia, i ciągle sobie to tajemnicze coś wyobrażał.

Ale żeby to wszystko powiedzieć, trzeba wielu słów i trzeba być ich pewnym, a Michał nie był. Zresztą teraz też nie umiałby wytłumaczyć Jackowi, dlaczego bawiły go parzące się małpy. Wiedział, co robiły. I wydawało mu się to śmieszne.

Michalek dorasta - przemknęło Jackowi przez głowę. I robi się ciekawski. A potem przypomniało mu się, co sam wyprawiał w jego wieku, i uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Fajne, co? - Michalek błędnie odczytał jego uśmiech, wpatrzony teraz w bujającego się na oponie szympansa. - Też moglibyśmy mieć taką huśtawkę.

- Najpierw potrzebne jest drzewo - odpowiedział Jacek.

- Możemy zasadzić - zapalił się Michał.

- Zanim wyrośnie, będziesz miał brodę i wąsy.

Michał jeszcze coś mówił, ale właśnie rozdzwoniła się komórka Jacka. Może Danka - pomyślał przez moment z nadzieją.

- Cześć - usłyszał głos Mata. - Gdzie jesteś?

- W zoo.

- Nie wygłupiaj się. Potrzebuję się z tobą zobaczyć.

- Stoję właśnie przed klatką z szympansem. Nawet podobny do ciebie, ale trochę ładniejszy.

- Jacek... - Mat wydawał się przestraszony. - Muszę pożyczyć forszę. Błagam cię.

- Ile?

- Tysiąc. Natychmiast.

- Coś ci się porobiło. Tłumaczę, że jestem w zoo. Z Miśkiem. Zadzwoń po południu, to pomyślimy... - Jacek przerwał rozmowę.

Co to ja bankier jestem - myślał wściekły. Mat już kilka razy pożyczał od niego pieniądze. Zresztą nie tylko on. Na liście dłużników w tej chwili go nie było, ale tysiąc złotych to ładny grosz. Rodzice Jacka nie przesadzali z kieszonkowym, miał tyle, ile potrzebował. Oszczędności - to były prezenty ekstra, składał na trekking po Azji.

Znów Mat chce pożyczyć forszę - domyślił się Michał, ale o nic nie spytał. Poszli oglądać ospałe lwy i klatki z ptakami, a potem zatrzymali się przy żyrafie.

- Ona to ma dobrze - powiedział Michał. Jacek popatrzył na niego ze zdumieniem. - No bo na wszystkich patrzy z góry.

- Też byś tak chciał? - spytał Jacek, żeby podtrzymać rozmowę. Myślami był wciąż przy Macie i tym tysiącu.

- Pewnie - przytaknął chłopiec. - Chciałbym mieć taką szyję. Zrobisz nam zdjęcie? - Ustawił się na tle żyrafy, a Jacek podniósł do oka aparat.

- Obejrzymy jeszcze węże i krokodyły, a potem pójdziemy na frytki - obiecał Jacek.

Zanim dotarli do pawilonu z gadami, telefon zadzwonił ponownie.

- Jestem w zoo - odezwał się Mat. - Gdzie cię znajdę?

Cholera - zaklął w duchu Jacek. Ten nigdy nie daje za wygraną. Podał mu namiary i weszli w ciemność. Poczul, że mały chwyta go za rękę. Za szklaną gablotą leżał wielki wąż, a dookoła niego skakały białe myszki.

- On im nic nie zrobi? - spytał Michałek.

- To żywy pokarm. - Po chwili wahania Jacek postanowił nie owijać sprawy w bawełnę. Zamierzał dać bratu niewielki wykład na temat układu sił w przyrodzie, gdy usłyszał głos Mata:

- Jestem jak ta mysz, bracie. Jak ta mysz. Jak mnie nie poratujesz...

Nawet w skąpym świetle, padającym z gąbłoty, Jacek dostrzegł, że Mat się poci.

- Nie zapłaciłeś za towar? - domyślił się.

- Dali na krechę, a teraz depczą mi po piętach. Powiedzieli, że jak nie zapłacę do piątej... - Przełknął ślinę.

Znów byli na słońcu. I gdyby nie Mat, Jacek by pomyślał, że wraz z opuszczeniem terrarium zostawili za sobą tajemniczy i ponury świat nieruchomych cierpliwych myśliwych i łownej zwierzyny. Gdyby nie jego trzęsące się dłonie i rozbiegane oczy.

- Skończ z tym wreszcie - powiedział.

- Nie truj, tylko poratuj. Nie mam nikogo innego... - Głos mu się załamał.

Na karcie mam z tysiąc pięćset - kalkulował Jacek. Mogę mu pożyczyć, ale...

- Kiedy mi oddasz? - Wiedział, że zadając to pytanie, wyraża zgodę, ale nie umiał odmówić. Mimo że Mat już od dawna nie był jego przyjacielem. Ale kiedyś był.

- Postaram się jak najszybciej, przecież wiesz.

- A konkretnie?

- Dwa tygodnie?

Ciekawe, skąd weźmie tyle kasy w dwa tygodnie - pomyślał Jacek, ale pokiwał głową.

- Jak będziesz mnie chciał wyrolować, mamy świadka... - zażartował, wskazując Michałka.

- No wiesz... - oburzył się Mat.

- Głodny jestem... - wtrącił Michał. - Obiecałeś frytki.

Byli już na ulicy.

- Zamówię ci, co będziesz chciał. Usiądziesz przy stoliku, będziesz sobie jadł i na mnie czekał. Może tak być? - spytał Jacek.

- Chcę jeść z tobą. Przecież mogę iść z wami do bankomatu.

Będę z nim musiał później pogadać - pomyślał Jacek. Niedobrze, jeśli zacznie opowiadać starym. Albo Nataszy. Spojrzał na zegarek. Mat nie miał już dużo czasu.

- Jak było u Bartka? - zagadnąc mając spokojną pewność, że Mat tam był.

- Dobrze... - usłyszał i coś w jego głosie postawiło go na baczność.

- Jak tam moja Danka? Dobrze się bawiła?

- Sam ją spytaj...

Ach, więc to tak. Zacisnął szczęki.

- Pytam ciebie. I radzę ci odpowiedzieć, bo jeszcze nie pożyczyłem ci tej forsy... - Poziom adrenaliny podskoczył mu gwałtownie.

- Spoko. Balowała z takim jednym. Nie znasz go. Nowy w towarzystwie. Ale ciebie nie było, miała stać w kącie? Wiesz, jaka ona jest...

- Nie wiem. Jaka? - Jacek czuł, że ma ochotę potrząsnąć Matem, który teraz uśmiechał się głupkowato, zetrzeć z jego gęby ten dwuznaczny uśmiezek.

- Po prostu zabawowa. - Mat wzruszył ramionami.

Zabawowa... Jacek wpatrywał się w bankomat, próbując przypomnieć sobie kod.

- Co jest? - zaniepokoił się Mat. - Chyba nie jesteś na mnie wściekły...

Boi się, że się rozmyślę - przemknęło Jackowi przez głowę i przez krótką chwilę miał taki zamiar. Ale wystukał kod i wyjął stosik banknotów.

- Dobry z ciebie kumpel. Nigdy ci tego nie zapomnę... - Mat poklepał go po plecach. - To ja lecę...

Jacek wziął Michała za rękę, a ten nie zaprotestował. Po dziesięciu minutach na barowym stoliku piętrzyły się przed nimi frytki, gotowana kukurydza i hamburgery. Jacek skubał jedzenie bez apetytu, rozmyślając o tym, co powiedział mu Mat.

- Danką cię zdradza? - spytał Michał, a on prawie się zakrztusił.

- Posłuchaj... - powiedział. - To, co dziś widziałeś i słyszałeś, to sekret. Nie chciałbym, żebyś o tym mówił w domu. Najlepiej o wszystkim zapomnij. Ja też nie wygaduję twoich tajemnic.

- Jakich? - Michał był umazany ketchupem po uszy.

- No, na przykład... że próbowałeś podglądać Nataszę albo że chronisz krety...

- Skąd wiesz o kretach? - Oczy małego przypominały dwa spodki.

- Wiem. - Uśmiechnął się Jacek.

- A ja wiem, że robiłeś Dance gołe zdjęcia - oznajmił Michał, ale zaraz tego pożałował.

Twarz Jacka spochmurniała. Zmarszczył brwi i odsunął od siebie tacę z niedojedzonym obiadem. Ten gnojek za dużo sobie pozwala. Myszkuje mi po pokoju. Powinienem mieć zamek, najwyższa pora - pomyślał.

UCIECZKI

- Nie zgadzam się - powiedziała Grażyna.

Jacek znał matkę na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie ma szans. Nie spodziewał się tego. Był już w sklepie z zamkami. Ten, który wybrał, umiałby nawet założyć sam. Powiedział matce, że nie czuje się swobodnie, kiedy Misiek wpada nieoczekiwanie do jego pokoju, kiedy za drzwiami słyszy krzatanie Nataszy, a ma akurat gościa, wreszcie, kiedy chce się odciąć od świata, a w końcu każdy ma do tego prawo. Tak właśnie powiedział: „każdy ma prawo”. Matka popatrzyła na niego znad jakichś papierów, a potem sięgnęła po papierosa, chociaż niedopałek dymił jeszcze w popielniczce.

- Uważam, że zamknięte drzwi są wystarczającym sygnałem, że nie ma się ochoty na niczyje towarzystwo. Nikt do nikogo nie wchodzi tu bez pukania. Zakładanie zaników to dowód braku zaufania do reszty domowników. - Jej głos był spokojny, ale Jacek już pożałował, że w ogóle poruszył ten temat. Ściągnął na siebie niepotrzebnie uwagę. Wzbudził podejrzenia. Kretyn ze mnie - wymyślał sobie, dodając tonem tak obojętnym, na jaki tylko było go stać:

- Nie myślałem o tym w ten sposób. Po prostu czułbym się czasem bardziej swobodnie. Zwłaszcza kiedy przychodzi do mnie Danka...

To było niezłe posunięcie. Miał nawet wrażenie, że matka przez chwilę się waha. Ale uśmiechnęła się tylko i puściła do niego oko.

- Powtórzę Michałowi, żeby wam nie przeszkadzał.

Nie wiadomo wcale, czy będzie miał komu - myślał smętnie Jacek, wyciągając z garażu rower. Od sławetnej prywatki, na której go nie było, nie dała mu szans. W szkole go omijała, zbywając półsłówkami, nie reagowała na telefony, na każdym kroku dając mu do zrozumienia, że nic ich nie łączy.

- Porozmawiajmy... - prosił, ale twierdziła z zaciętą miną, że nie ma o czym.

- Pogrywa z tobą... - uspokajał go Grzesiek.

Grzesiek to było jego odkrycie. Osobny, niezależny, zawsze na czarno, intelektualista, genialny matematyk. Od roku na amfie, był dla Jacka żywym dowodem na to, że to, co się mówi o narkotykach, to brednie.

- Stary, zależy od tego, ile bierzesz i po co. Dla mnie speed to środek do celu. Nigdy bym nie wygrał olimpiady, gdyby nie to... - Stukał znacząco w puszkę po herbacie. - Tydzień

przed egzaminem w ogóle nie spałem. Nie musiałem, rozumiesz? I wszystko wchodziło mi samo do głowy. Rewelacja... Byle nie przesadzić...

Kiedyś spróbuję - myślał Jacek. Ale wciąż czuł opór przed tym „pierwszym razem”. Czytał o przypadkach śmiertelnych. I nawet jeśli były to bajki, brzmiały złowrogo.

Grzesiek uważał, że Jacek powinien przestać ganiać za Danką, a wtedy może role się odwrócą, jednak akurat w tej sprawie Jacek nie uważał go za eksperta. Nigdy nie widział Grzeška z dziewczyną, nie wiedział nawet, czy kiedykolwiek jakaś była.

Pęd sprawiał mu przyjemność. Pedałował przed siebie ile sił. Miał bezsensowną nadzieję, że ją zobaczy, jakby to miało cokolwiek zmienić. Wolałbym chyba, żeby powiedziała mi wprost, że między nami koniec - myślał. Czyste sytuacje są znacznie lepsze...

Wczoraj wieczorem Misiek znów zapytał go o Danke.

- Zajmij się swoimi sprawami, dobrze?! - ofuknął małego.

Muszę go trzymać bardziej na dystans - postanowił. Nie jestem jego niańką.

Przypomniało mu się, że ma na jutro napisać wypracowanie z polskiego. „Wielkie ucieczki współczesności...” Zawracając w stronę domu, pomyślał, że mógłby napisać o marysce. O tym, że dzięki niej można od siebie uciec, a czyż istnieje ucieczka bardziej idealna niż ta od własnych problemów i lęków? I im wyraźniej widział siebie, czytającego swoje wywody przed klasą i ironiczną minę nauczycielki, tym większą miał ochotę na prowokację.

Każdy próbuje uciec czasami od rzeczywistości Powszechnie znany jest fakt uzależniania się od seriali telewizyjnych i prymitywna potrzeba podglądania życia innych poprzez reality show. W ten sposób jednak uciekając od własnej rzeczywistości, wpadamy w inną często daleko mniej ciekawą niż nasza własna. Doskonalszą formą ucieczki jest z pewnością sztuka przez duże S... Tu opisał kilka filmów, jeden utwór muzyczny i pewien obraz, do którego czasami bezwiednie wracał. Temat go nieoczekiwanie wciągnął, pióro samo biegło po papierze, chociaż słowa nie były w stanie wyrazić do końca tego, o czym chciał powiedzieć. Nieposłuszne słowa.

Sięgnął po trawkę w nadziei, że powrócą - dokładniejsze i bardziej precyzyjne. Paląc, widział wjeżdżającą przez bramę taksówkę. No tak, ojciec znów nie mógł wrócić o własnych siłach... Patrzył, jak wysiada chwiejnym krokiem i idzie do domu.

„Przyrzeknij, że więcej nie będziesz” - przypomniały mu się słowa Miśka.

Ciekawe, przed czym ty uciekasz - chciałby zapytać ojca, ale wie, że się na to nie zdobędzie. Bo teraz Kamil obróciłby wszystko w żart, a - kiedy już wytrzeźwieje - będzie udawał, że nie wie, o co chodzi. Przewidywalność wszystkiego, co nastąpi tego i następnych

wieczorów, wprawiła Jacka w przygnębienie. W życiu powinno być więcej niespodzianek - pomyślał, wpatrując się ponownie w rozłożony na biurku zeszyt. Ale słowa, zamiast stać się celniejsze i bardziej uchwytnie, rozbiegały się teraz na wszystkie strony, nawet te już napisane uciekały ze swoich miejsc, niektóre z nich nurkowały w półmrok za oknem, stając się częścią równo przystrzyżonej trawy.

Przed oczami stanął mu dymiący niedopałek papierosa matki i jej ruch w kierunku prawie pustej paczki. Papierosy trudno chyba nazwać ucieczką - pomyślał. Jej ucieczką jest praca. Matka nawet w weekendy nie umiała się wyluzować, ciągle była czymś zajęta, gdzieś biegła. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek leżała w ogrodzie, w harmonii z otoczeniem i sobą samą.

Nagle papieros stał się wielki jak komin fabryki. Jego dym przysłaniał niebo. Jacek dojrzał poprzez jego kłęby Michała, jak przygląda mu się z ogrodu. Śledzi mnie - pomyślał. Ciągle mnie obserwuje. Rzucił się do drzwi. Dam mu nauczkę - postanowił. Kłęby dymu ścieliły się teraz u jego stóp jak mgła.

Słyszał, że ktoś go woła. Zobaczył ojca ze szklaneczką w dłoni, Nataszę nakrywającą do kolacji... Michał siedział na podłodze, przebierając w kasetach wideo. A więc już zdążył wrócić - pomyślał Jacek, opary rozwiały się, poczuł się słabo, więc opadł na fotel. Ojciec ruszał ustami jak ryba, śmiesznie to wyglądało, więc się roześmiał. Własny śmiech, a raczej to, co śmiechem być miało, przywrócił go do rzeczywistości.

Zobaczył wpatrzone w siebie trzy pary oczu. Ojciec przestał już ruszać ustami, nikt nic nie mówił, akurat skończyła się płyta, wyolbrzymiając ciszę.

- Co się stało? - spytał ojciec.

- Nie wiem - udało mu się odpowiedzieć. Własny głos huczał mu w uszach.

Ojciec zbliżył się do niego. Powiniennem stąd wyjść - pomyślał Jacek, ale miał nogi jak z waty.

- Nataszo, niech pani da mu aspirynę. Dziwnie wygląda... - usłyszał.

Według niego aspiryna jest dobra na wszystko - myślała Natka, grzebiąc w szufladce z lekami. Ślepy jest czy co? Gdyby to było moje dziecko... Była przekonana, że Jacek coś bierze. Może powinnam powiedzieć o tym pani Grażynie - zastanawiała się, ale nie była pewna, czy ma się wtrącać. Tym bardziej że w trakcie pierwszej rozmowy, kiedy przyjmowano ją do pracy, zostały wyraźnie określone jej obowiązki oraz to, czego ma w żadnym wypadku nie robić.

- Liczę, że będzie pani szanowała naszą prywatność... - powiedziała Grażyna, a Natka przetłumaczyła to sobie, że ma nie wtykać nosa między drzwi.

NOCE

Jacek nie jadł z nimi kolacji. Wrócił do swojego pokoju. Michałek grzebał w talerzu spaghetti, myśląc o starszym bracie. I mimo że ojciec puścił mu na wideo jego ulubiony film o delfinie, tym razem nie mógł się skupić. Zauważył, że Jacek jest na niego zły, ale nie domyślał się dlaczego. Od wyprawy do zoo ich kontakty wyraźnie się ochłodziły.

- Michał widział dzisiaj Dankę. Szła z jakimś chłopakiem, śmiała się i lizała loda. Nie wiedział, czy mówić o tym Jackowi.

Wróciła mama. Ale nie rozmawiała z tatą, tylko trochę z Nataszą i trochę z nim. Pewnie znowu się pokłócili - myślał Michał. Nie lubił tego. I chociaż nigdy nie słyszał kłótni rodziców, po ich zachowaniu wiedział od razu, że coś jest nie tak.

- Chodź, Misiu, poczytam ci przed snem... - zaproponowała nagle. Już dawno nie siedziała przy nim przed zaśnięciem. Nie umiała opowiadać ciekawych historii, jak Natasza, ale często wybierała opowieści, których jeszcze nie znał, z książek z własnego dzieciństwa, które przechowywała jak skarb.

Zastuchany w baśń o dzikich łabędziach zasnął, przytulony do jej spódnicy. Nie wiadomo, co go obudziło: płacz trąbki z salonu, gdzie jego ojciec - jak często bywało - trwał, słuchając jazzu w towarzystwie butelki, oślepiający blask księżyca czy niepokój czający się zza ściany. Przez chwilę leżał, przewracając się z boku na bok, ale sen oddalił się już i Michał poczuł nieodpartą potrzebę odwiedzenia brata. Jeśli śpi, nie będę mu przeszkadzał - postanowił.

W pokoju Jacka paliła się nocna lampka. On sam siedział przy biurku, z głową opartą na otwartym zeszyte. W pierwszym odruchu Michał chciał go obudzić, ale przypomniał sobie, że nie powinien wchodzić tu bez pukania. Bał się też trochę, że Jacek może znów się na niego rozgniewać. W powietrzu czuł słodkawy dym. Znowu palił te swoje papierosy - pomyślał i wtedy zauważył trzy z nich w na wpół wysuniętej szufladzie. Starając się prawie nie oddychać, sięgnął po jeden, a potem jeszcze jeden, chowając je spieszenie w kieszeni piżamy. Był już przy drzwiach, kiedy potrącił o coś łokciem. Zastygł z dłonią na klamce, patrząc z przerażeniem, jak głowa Jacka podnosi się, przekręca w jego stronę, a oczy zwięzają się, utkwione w nim nieruchomo.

Nagle przypomniały mu się słowa, wypowiedziane przez Mata przed kłatką z pytonem.

- Jestem jak ta mysz, bracie.. - - szepnął, zamykając oczy.

Poczuł uderzenie.

- Nigdy tego nie rób, szczeniaku. Bez przerwy mnie śledzisz. Widziałem, jak dziś zaglądałeś przez okno. Daj mi spokój.

Michał czuł spływające po twarzy łzy. Jacek trzymał go za ramiona i trzął nim. Najpierw mocno, potem coraz słabiej.

- Po coś tu przyszedł?

Nawet gdyby nie łzy i gula w gardle, i tak nie potrafiłby mu odpowiedzieć. Choćby chciał. Nie rozumiał, co Jacek do niego mówi. Nie zaglądał dzisiaj przez okno.

Otworzył drzwi, a Jacek go nie zatrzymał. Muzyka, napływająca wciąż z salonu, wabiła go jak zablakanych marynarzy śpiew syren. Szedł ku niej po omacku, góra piżamy była już mokra od łez, nagle otoczyły go ramiona ojca i poczuł jego przesycony alkoholem oddech.

- Co się stało, Michałku? Miałeś straszny sen?

Pokiwał głową, a ojciec wziął go na ręce i zaniósł do łóżka.

- Zostać z tobą? - spytał.

Michał miał znów trzy lata. Przypomniało mu się, jak spał, przytulony do ojca, który trzymał rękę na jego głowie. I Kamil - jakby czytając w jego myślach - zrobił to samo. A jego gest i bliskość sprowadziły wreszcie sen, odpędziły koszmary.

Jacek stał przy drzwiach, dygocąc jak w febrze. Uderzył małego po raz pierwszy w życiu. Czuł się podle. Zauważył, że wciąż jest w dżinsach, chociaż zegarek wskazywał drugą. Powędrował wzrokiem do otwartego zeszytu i zdania przerwane w pół słowa. Odtwarzał powoli wydarzenia poprzedniego wieczoru. Nic dziwnego, że film mi się urwał, skoro tyle wykotłowałem - myślał, wpatrując się ze zdumieniem w samotnego skręta. Co mi odbiło, wściekał się na siebie. To mocny towar. Nigdy nie miałem mocniejszego.

Nie powinienem być taki ostry - wyrzucał sobie, ściągając ubranie. Misiek to jeszcze dzieciak. Ciekawski dzieciak, nic więcej. Z drugiej strony lepiej, żeby za bardzo nie włąził w moje sprawy. I tak już za dużo wie. Może to go nauczy...

Zgasił lampkę. Zerwał się wiatr, księżyc przysłoniły chmury. W absolutnej ciemności dotarły do niego dźwięki kołysanki, nuconej przez ojca. To z *Rosemary baby* - rozpoznał natychmiast słynny motyw i przeszył go dreszcz.

Grażyna nie mogła spać. Jak zawsze, kiedy nie było przy jej boku Kamila. Jak zawsze, kiedy mógłby być blisko, a ponad jej towarzystwo przedkładał muzykę, której nie rozumiała, i butelkę, której nienawidziła z całego serca.

Kamil był pierwszym mężczyzną, z którym naprawdę lubiła spać. I nie chodziło tu tylko o seks, chociaż pod tym względem też było im dobrze, ale o rodzaj bliskości. Kiedy leżał obok, miała wrażenie, że nic złego nie może się zdarzyć. Nawet jeśli potem, w świetle dnia, dziwiła się własnym uczuciom, trwały w niej niezmiennie, od kiedy go spotkała. Czasami myślała, że Kamil o tym nie wie. Nigdy nie potrafiła mówić o uczuciach. A łatwiej okazywać te negatywne... Kiedy wracała zmęczona z pracy, marzył jej się całkowity relaks, a ten Kamil umiał jej zapewnić jedynie w nocy.

Ostatnio jednak coraz częściej kładła się do łóżka samotnie.

Natasza zgasiła telewizor. Czasami oglądała filmy do bardzo późna. Pozwalały jej oderwać się od własnych myśli, zapomnieć o tęsknocie. Uklękała, jak zawsze przed snem, i złożyła dłonie do modlitwy. „Daj mi, panie Boże, zdrowie i siłę. Opiekuj się Saszka i Jurą. Chroń nas od złego i spraw, żebyśmy szybko mogli się spotkać, chociaż na trochę...” Natasza prosiła niedawno Grażynę o tydzień wolnego, ta jednak skrzywiła się tylko w odpowiedzi, a potem powiedziała, że w wakacje da jej nawet miesiąc. „To przecież już niedługo” - dodała.

Gdyby ona przez tyle czasu nie widziała swoich, ciekawe, czy to byłoby dla niej niedługo - pomyślała wtedy z goryczą, miała to nawet na końcu języka, ale jak zwykle zmilczała. Może zresztą dla Grażyny to nie byłaby katastrofa. Natka nie umiała sobie wyobrazić, co ona myśli i czuje. Była zawsze taka poprawna, nigdy nie podnosiła głosu, równie rzadko śmiała się z całego serca. Kamil jest bardziej ludzki. Pije jak to chłop, Natasza była do tego przyzwyczajona. Jura to był wyjątek, pił jej ojciec i dziadek, no i żaden z sąsiadów nie wylewał za kołnierz.

Może jemu powinnam zwrócić uwagę na Jacka - wróciła myślami do zaczerwienionych oczu chłopca i jego dziwnego zachowania dziś po południu. Spróbowała sobie wyobrazić, jak Kamil wraca z pracy, a ona mówi mu, że powinien poobserwować własne dziecko. Aż roześmiała się z tego pomysłu.

„Mateczko - utkwiała wzrok w wizerunku Madonny - pomóż im, bo tego potrzebują. Spraw, aby przejrzeni na oczy...”

I tak, powierzwszy boskiej opiece rodzinę, w której przyszło jej żyć, zasnęła kamiennym snem bez snów, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

LĘKI

Rano Michał znalazł w kieszeni piżamy skręty i miniona noc znów stanęła mu przed oczyma.

- Pospiesz się... - poganiała go Natasza - bo spóźnisz się do szkoły.

Jeden papieros był pokruszony, drugi - po chwili wahania - schował w starym piórniku.

Dziś odwoził go ojciec.

- No i jak tam. Misiu, dobrze ci się ze mną spało? - zagadnął go, ruszając spod bramy. Za pół godziny miał ważną naradę, na którą nie powinien się spóźnić. Michał przytaknął, Kamil widział jednak, że jego syn nie jest w najlepszej formie. - Co cię tak przestraszyło? Pamiętasz ten sen?

- Nie - odpowiedział Misiu po chwili na tyle długiej, że Kamil nie dałby złamanego grosza za jego prawdomówność. Ale nie chciał naciskać, poza tym dojeżdżali właśnie do szkoły. Pocałował syna na do widzenia, patrząc, jak wita się z Krzysiem.

Za mało z nim rozmawiam - przeniknęło mu przez głowę, zanim jego myśli nie pochłonęło całkowicie spotkanie, na które się spieszył.

Michał bał się, co się stanie, kiedy Jacek zauważy brak papierosów. Postanowił nie przyznawać się do niczego. I tak został mu tylko jeden, a chciał spróbować, czym się różni od tych palonych przez mamę. Oprócz wyglądu. O wiele ładniejsze były papierosy mamy. Michał widział raz przez okno brata nabijającego trawką szklaną firkę. Nie wiedział, czy smakuje tak samo jak skręty.

Na razie kombinował, gdzie zapalić tego, którego zdobył z takim poświęceniem. Żeby mu nikt nie przeszkodził. Może dam też pociągnąć Krzysiu - pomyślał. We dwóch zawsze różniej. Jeden może stać na czatach, potem się zmienimy...

Jednak tego dnia nie mogli spotkać się po szkole - Krzys był zajęty. Umówili się na następny dzień.

*

Jacek zderzył się na korytarzu z Danką. Chciała go wyminąć, ale chwycił ją za rękę. Miał tego dosyć. Czuł się zmęczony. Poprzednia lekcja - to był polski. Nie mógł oddać niedokończonego wypracowania, co równało się problemom z oceną na koniec roku.

Wydawało mu się, że cały świat sprzysiął się przeciwko niemu. Rano złapał badawcze spojrzenie Nataszy. Prześwietlało go na wylot, pozbawiało złudzeń, że jest sam na sam ze swoim sekretem. Misiek omijał go szerokim łukiem, nie patrząc mu w oczy. Rodzice jak zwykle niczego nie zauważyli.

Na poprzedniej przerwie nie udało mu się odszukać Danki. Teraz sama wpakowała się na niego - nie mógł przepuścić takiej okazji.

- Czego tak się boisz? - zaatakował ją, nie rozluźniając uścisku, mimo że się skrzywiła z bólu. - Tak trudno powiedzieć mi prosto w oczy, że to koniec? Żebyś dał ci spokój?

- Daj mi spokój! - krzyknęła.

Jacek zauważył, że zaczynają wzbudzać sensację, więc puścił ją i rzucił na tyle obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć w tych okolicznościach:

- Lubię jasne sytuacje. - Odwrócił się i odszedł.

Zamarzył o trawce. Tylko ona mogłaby go teraz zrelaksować.

- Masz coś? - zaczepił Mata, a ten pokazał mu wzrokiem róg korytarza.

Jacek nie mógł zrozumieć, jak ten facet tu wchodził. Był w ich wieku, więc mieszał się z tłumem, nie był jednak uczniem, a nikt nigdy nie zakwestionował jego częstej obecności na dużych przerwach. Zauważył, że obok niego stoi Danka. Zaklął brzydko w duchu. Jeśli teraz tam podejdziesz, dziewczyna pomyśli sobie, że to ze względu na nią. Nagle dostrzegł drobny gest jej dłoni, na tyle intymny, że zakręciło mu się w głowie. A więc to tak... To ty jesteś ten nowy... Popatrzył na niego po raz pierwszy uważniej. Mniej więcej jego wzrostu, krótkowłosa blondyn, nie do zapamiętania. Dlatego wszędzie możesz się wkręcić - pomyślał, trudno sobie wyobrazić bardziej wymarzonego dealera. Podeszło do niego jakichś dwóch małałów i Danka się zmyła. Nie uszło uwagi Jacka, co schowała spiesznym ruchem do kieszeni. Na pewno nie była to trawa, a więc...

Co cię obchodzi, że przeszła na amfę lub na cokolwiek innego - powtarzał w duchu, a jednak nie było mu to obojętne. Nie czuł do blondyna chrześcijańskich uczuć. Nie poleciała na twoje piękne oczy - myślał, wyrastając przed nim. Ani na intelekt - dodał, w gruncie rzeczy na wyrost, ponieważ nic o nim nie wiedział. Prawie nic.

Rozległ się dzwonek.

- Sklepił zamknięty... - mruknął chłopak, wymijając go szerokim łukiem.

- Albo mi sprzedasz, albo cię zakabluję. - Jacek usłyszał własne słowa. Zdziwiły go. Nigdy by tego nie zrobił.

- Spróbuj... - Oczy blondyna zwęziły się, zanim ruszył szybkim krokiem w kierunku schodów.

Korytarz opustoszał.

Ciekawe, czy Danka wspominała mu o mnie - myślał Jacek, wracając do klasy. Mógł to zresztą, zrobić ktokolwiek inny... Poczul na sobie badawcze spojrzenie Mata.

Po chwili czytał przysłany mu przez niego liścik: *Odpuść sobie. Kacper ma kupą znajomych. Nie wszyscy są mili.*

A więc tak masz na imię - pomyślał Jacek o rywalu. Nawet ładnie. Zwinął kartkę w kulkę. Liścik nie wymagał odpowiedzi. Niemili znajomi Kacpra przybierali w jego wyobraźni postać wychudzonych cieni, przed którymi opróżniał kieszenie.

Poczul lęk. Nie miał ochoty przemykać się ukradkiem, być celem i unikać trudnych do przewidzenia pułapek.

Gdybym nie poszedł na ten maraton - pomyślał - wszystko byłoby tak jak kiedyś. Przypomniał sobie nagą Dankę w śmiesznej czapeczce, ich ostatni seans zdjęciowy i myśl, że był naprawdę ostatni, sprawiła mu ból. A jednak gdzieś w środku wiedział, że tak stać się musiało, że wcześniej czy później zostawiłaby go pod byle pretekstem, bo nie chciał być jej sługą i podnóżkiem, bo nie mieli wspólnych zainteresowań ani pasji oprócz... Zobaczył, że wszyscy przepisują coś z tablicy, jakieś chemiczne wzory, znów nie uważał, znów będzie miał kłopoty. Przydałoby mi się coś na koncentrację, inaczej polegnę - pomyślał w panice, notując cyfry i równania, które nie mówiły mu nic.

*

Grażyna siedziała w swoim gabinecie. Miała dziesięć minut wolnych. Po serii ćwiczeń izometrycznych sięgnęła po telefon. „Nigdy do mnie nie dzwonisz...” - zabrzmiały jej w uszach pełne wyrzutu słowa siostry. Coś w tym było. Oddaliły się od siebie już dawno. Grażyna miała wrażenie, że Ewa zazdrości jej statusu. Ich światy nie przystawały do siebie pod żadnym względem. Jednak kiedy działo się coś ważnego, kiedy potrzebowały rady i pomocy, były pewne, że mogą na siebie liczyć. To Ewa była pogotowiem ratunkowym, kiedy trzeba było zająć się małym Jackiem, a potem - zanim Grażyna nie zatrudniła Nataszy - Miśkiem. Pewnie dlatego była bardzo związana z chłopcami. Czasami Grażyna miała wrażenie, że jej siostra łatwiej nawiązuje kontakt z nimi niż z własną córką. Może tak to jest - myślała, bawiąc się słuchawką, że najtrudniej jest znaleźć wspólny język z najbliższymi...

Przypomniała sobie minioną noc i znów poczuła lęk, tak jak wtedy, kiedy leżała zwinięta w łóżku, nasłuchując odgłosów z salonu. Każdy dźwięk wyostrzał jej zmysły, słyszała kroki Kamila, kiedy zmieniał płytę i kiedy wędrował do barku, a potem, gdy już miała nadzieję, że powędrują schodami w stronę sypialni, jego głos, z kimś rozmawiał, a

może ze sobą samym? Jego kroki jednak oddaliły się, zamiast przybliżyć, a potem wszystko ucichło, i ta cisza była jeszcze gorsza od kroków, bo nie wiadomo było, co się za nią kryje. Nie pamiętała, kiedy wreszcie usnęła, lecz gdy otworzyła rano oczy, Kamila przy niej nie było.

Nigdy nie rozmawiała z Ewą o uzależnieniu męża, nie miała jednak wątpliwości, że ona wie, czasem wydawało jej się, że wszyscy wiedzą, i wstydziła się strasznie, chociaż przecież choroba to żaden wstyd. Nagle zapragnęła o tym pomówić, ale zanim znalazła właściwe słowa, jej wolny czas minął, więc odłożyła słuchawkę na miejsce, zapaliła papierosa i otworzyła teczkę z materiałami na temat kampanii reklamowej tabletek przeciwbólowych, gotowa do rozmowy z klientem.

*

Natasza lubiła odkurzać małe przedmioty. Sprawiał jej przyjemność dotyk marmurowych jajek, bibeloty wydawały się mieć w sobie więcej życia niż meble, fotografie za każdym razem odkrywały przed nią nowe tajemnice. Dzisiaj na przykład zauważyła po raz pierwszy wyraz napięcia na twarzy Grażyny, wpatrującej się w swojego nowo poślubionego. Jakby jej radość podszyta była strachem - pomyślała Natasza. Odstawiła ostrożnie zdjęcie i powędrowała spojrzeniem ku zamkniętym drzwiom pokoju Jacka. Od kiedy poprosił, żeby tam nie wchodziła, uszanowała jego życzenie. Czuła się winna, że nie powiedziała o tym państwu. Zrobię to przy najbliższej okazji - postanowiła. Przewyciężyła lęk i zajrzała do środka. Jej oczom ukazało się niepościelone łóżko, sterty fotografii. Nic specjalnego - odetchnęła z ulgą, jakby spodziewała się ujrzeć siedmiogłowego smoka. A jednak coś czaiło się w tym pokoju, tajemnica o zapachu suszonych liści, którym przesiąknięte było powietrze, coś, co sprawiło, że Natasza nie przekroczyła progu, zamykając drzwi ostrożnie i cicho, jakby się bała, że może się wydać.

ZABAWY

W taką sobotę jak ta chce się żyć - pomyślała Natasza, nakrywając do obiadu. Wszyscy domownicy zdawali się podzielać jej zdanie. Zasiedli wspólnie do stołu, Grażyna i Kamil uśmiechali się do siebie, Jacek sprawiał wrażenie bardziej pogodzonego z rzeczywistością niż zazwyczaj, a Michałowi nie zamykała się buzia. Wrócili niedawno ze spaceru po lesie: spotkali się tam z siostrą Grażyny i jej rodziną.

Za bardzo wszystko wyolbrzymiam - Natka przypomniła sobie swój ostatni list do domu. Widzę duchy. To normalna szczęśliwa rodzina. I - jak każda - miewa kłopoty i nieporozumienia. Zawstydziała się swoich lęków, patrząc na pana domu, jak podaje półmisek żonie.

- Mogliśmy ich zaprosić na obiad... - powiedział.

- Myślałam o tym, ale jeszcze by się zasiedzieli, a nie mamy za dużo czasu... - Grażyna zerknęła na zegarek.

- Wychodzicie? - spytał Jacek.

Rzadko zadawał takie pytania, jeszcze rzadziej otrzymywał wyczerpujące odpowiedzi. Ale dzisiaj było inaczej. Kamil zaczął mu opowiadać o swoim koleźce ze szkoły, który jest teraz uznanym malarzem. Wybierali się na wernisaż jego najnowszych prac.

Mogliby mi zaproponować, żebym z nimi poszedł - przemknęło Jackowi przez głowę. Chybaby odmówił, ale oni nigdy nie miesali takich pomysłów. Nawet Michała mogłoby to zainteresować - pomyślał. Kiedyś byli razem w muzeum: Misiak był wtedy zupełnie mały, ślizgał się po posadzce, nie zwracając szczególnej uwagi na obrazy, aż do chwili, kiedy się zatrzymał przed portretem dziewczynki w białej koronkowej sukience. Nie chciał od niego odejść, pytał o jej imię, a potem, w domu, ciągle próbował ją rysować, wciąż i wciąż od nowa. Jakby rzuciła na Miśka urok. Jacek uśmiechnął się niewesoło, bo znów przypomniła mu się Danka.

Od pamiętnej nocy mały trzymał się od niego na dystans, a na próby przełamania lodów reagował monosylabami. Powiniennem go przeprosić - myślał Jacek, ale wciąż odkładał to na potem. Tym bardziej że miał dość własnych kłopotów. Zgodził się na ten spacer, by uspić czujność rodziców. Widział, iż niczego się nie domyślają, i dokładał starań, aby tak pozostało. Ku swojemu zdumieniu zresztą, wcale się nie nudził. Lubił ciotkę Ewę, a z Justyną też można było pogadać.

Na popołudnie nie miał żadnych planów. Wystarczy jednak do kogoś zadzwonić, a zaraz coś się wydarzy...

- A ty? - Kamil wydawał się czytać w jego myślach. - Co zamierzasz robić?

- Pójdę do klubu pograć w bilard... - wymyślił na poczekaniu, czując, że dokładnie na to ma dziś ochotę.

Już widział w wyobraźni zielone sukno, słyszał cichy stuk kul, to była dobra ucieczka od niepotrzebnych myśli. Miał nadzieję na towarzystwo Grzeška... Ojciec przeniósł wzrok na Michała, a ten rzucił pospiesznie, zanim padło pytanie:

- Umówiłem się z Krzysiem, że do niego przyjdę...

Misiek poczuł, jak oblewa się rumieńcem. Rano zaglądał do piórnika, żeby sprawdzić, czy skręt jest na swoim miejscu. Był, czekał na niego.

Dobrze, że Michał ma sąsiada w swoim wieku - myślała Grażyna, szykując się do wyjścia. Lubiła Krzysia i jego rodziców.

Kamil wyprowadził z garażu samochód. Obiecał być dzisiaj kierowcą. Nie bardzo mu się to uśmiechało, trudno odmówić sobie przy takiej okazji choćby lampki wina, ale był pełen dobrej woli. Tej nocy było im ze sobą tak dobrze, iż uwierzył, że mogą jeszcze być blisko. Patrzył z podziwem na Grażynę, wychodzącą z domu. Szczęśliwiec ze mnie - przemknęło mu przez głowę. Ogarnął wzrokiem swoje królestwo, po drugiej stronie ogrodzenia dostrzegł jeszcze młodszego syna, jak szeptał coś do ucha Krzysiu. Ach, te ich malutkie sekrety - uśmiechnął się pobłaźliwie, otwierając przed żoną drzwiczki.

Michał namawiał Krzysia na strych. Był tam tylko raz, ale zostały mu w pamięci stare zakurzone meble, sterty gazet i książek, puste złożone ramy. U nich w domu nie było takiego pomieszczenia, a Krzyś miał aż dwa: piwnicę i strych, ale strych podobał się Miśkowi bardziej.

- Posiedźcie lepiej w ogródku... - namawiała mama Krzysia, ale obiecali, że idą na górę tylko na piętnaście minut, a potem będą bawić się na powietrzu.

Tato Krzysia piekł na grillu kiełbaski i Michałek, mimo że dopiero zjadł obiad, poczuł, że skusi się na jedną, kiedy już będzie po wszystkim.

- Masz zapalki? - szepnął, kiedy wspinali się na górę stromymi schodami.

- Zapalniczkę... - Krzyś był nie mniej przejęty od przyjaciela.

Światło strychu było przyćmione, słaba żarówka pozwalała dojrzeć tylko przedmioty zgromadzone na środku. Michał wymyślił dokładnie, jak to ma być. Usiądą w pluszowych fotelach, a za popielniczkę posłuży im kubeczek, który postawią na skrzyni. Chciał, żeby to był ceremoniał. Za długo podglądał Jacka, za dużo sobie wyobrażał, żeby teraz wypalić

drogocennego skręta pospiesznie gdzieś w kącie. Przypomnił mu się stary film, na którym dwóch panów siedziało w głębokich fotelach, paląc cygara.

Mieli jednego skręta na spółkę, postanowili rzucać monetą, który wypali pierwszą połowę.

- Najpierw musimy trochę posprzątać... - postanowił Michał, zgarniając z foteli stare zasłony i ozdobny gruby sznur zakończony frędzlami.

- Ukradłeś go? - Krzyś przyglądał się ze wszystkich stron ich przedmiotowi pożądaniam.

- Ja nie kradnę - oburzył się Misiek. Zabrzmiało mu nagle w uszach własny szept: „Jestem jak ta mysz, bracie...” i nieruchomy wzrok Jacka utkwiony w nim w półmroku. - Jacek sam mi dał...

To kłamstwo sprawiło mu nieoczekiwaną przyjemność. Prawie w nie uwierzył.

- Coś ty... - zdziwił się Krzyś. - Mój orzeł... - zdecydował, rzucając złotówkę.

Stuknęli się głowami, pochyleni nad skrzynią. Reszka...

Michał wziął skręta między palce, usiadł w fotelu, a Krzyś podał mu ogień. Pierwszy wdech wcisnął go głębiej w fotel, wszystko zawirowało mu przed oczami. Był znów z Jackiem w zoo. Zwierzęta zgodnie brodziły po kolana w zeschniętych tłących się liściach. Nie było krat ani ludzi, tylko zwierzęta i ptaki. Przechadzały się wolno strusie i kozy, tygrysy i antylopy, słonie i żyrafy. „Chciałbym mieć taką szyję” - Przypomnił mu się własny głos z przeszłości.

- Jaką? - usłyszał Krzysia.

Skąd on się tu wziął - zdziwił się. Nagle zachciało mu się śmiać, wyobraził sobie siebie, jak kroczy obok najwyższej żyrafy, z głową uniesioną wysoko nad drzewami.

- To łatwe... - chichotał, krztusząc się trochę z radości, a trochę z dymu. - Mogę mieć szyję jak żyrafa albo jeszcze dłuższą... To łatwe...

- Co ty gadasz? - Krzyś przyglądał się z niedowierzaniem, jak Michał podnosi się z fotela.

Żyrafy były tuż obok. Widział ich aksamitne szyje, obracał w rękach złocisty sznur, łaskotał je frędzlami, a one się śmiały. Pierwszy raz widział śmiejące się żyrafy. Chciał o tym powiedzieć Krzysiewi, ale nie mógł. Słowa wracały do niego, rozpadały się na litery, fruwały dookoła jak dziwne motyle.

Pokażę mu, jak to się robi - przemknęło przez głowę Michała, zawiązał sznur wokół szyi, wystarczy zahaczyć go o hak od żyrandola, stopa ugrzęzła mu w fotelu... Krzyk Krzysia przestraszył żyrafy, przestały się śmiać, zaraz uciekną - pomyślał i ruszył za nimi.

CZEŚĆ DRUGA
Z ŻYCIA KRETÓW

HAIKU 1

*Robiłem zdjęcia
pustej trawy.
Huczały organy.*

- Zabiłeś swojego brata - mówi ojciec.

Jego głos jest beznamiętny. Jakby stwierdzał, że trzeba posprzątać garaż. Co ty pieprzysz! - mam ochotę wrzasnąć, ale nie mówię nic. Nie pamiętam, czy od chwili pogrzebu odezwałem się jednym słowem. I mam uczucie, że nie ma już o czym mówić. I nigdy nie będzie. Bo słowa nie mogą wyrazić pustki. Im jest ich więcej, tym bardziej kłamią.

Po powrocie z cmentarza zamknąłem się w swoim pokoju. Siedziałem przy oknie, gapiąc się na trawnik. Pięknie wystrzyżony. Robiłem zdjęcia tej pustej trawy, przesuając po niej obiektywem, aż trafiłem na mały kopczyk. I wtedy rozplakałem się po raz pierwszy.

Na pogrzebie było za dużo łez, płakali wszyscy, starsi i młodszy, było kilkoro dzieci z klasy Miśka z nauczycielką, zastanawiałem się, dlaczego nie przyszli wszyscy. Może ktoś tam wymyślił, że dzieci nie powinny stykać się ze śmiercią. Że to może fatalnie wpłynąć na ich psychikę. Że mogą zacząć zadawać niewygodne pytania. Niewygodne, ponieważ nikt nie będzie umiał udzielić na nie odpowiedzi.

Krzysia na pogrzebie nie było. Była jego matka, z twarzą obrzmiałą od łez. To ona pobiegła na górę, słysząc krzyk. To ona zdjęła z szyi Miśka sznur. Może wyrzuca sobie teraz, że biegła zbyt wolno? A może to, że pozwoliła dzieciom bawić się na strychu? Łapałem jej pełne nienawiści spojrzenia.

Dlaczego mi to zrobiłeś - myślałem, patrząc na małą trumnę. Stałem przed nią razem z rodzicami, wszystko wydawało mi się nierealne, takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach, i to nie najlepszych. Ksiądz coś tam mówił, klękałem i podnosiłem się, huczały organy, jakaś kobieta śpiewała.

Jedyną osobą, którą czułem blisko siebie, była babcia. Wyjechała zaraz po pogrzebie, nie chciała nawet przenocować.

A teraz pakowała się Natka.

- Mam nadzieję, że pani wróci... - Mama stała w progu, cała w czerni, z nieodłącznym papierosem w dłoni. - Będzie teraz mniej pracy... - Głos nagle jej się załamał i pewnie to sprawiło, że Natasza podbiegła do niej i przytuliła ją do siebie. Trwały tak przez chwilę,

splecione w uścisku, jak najlepsze przyjaciółki. Nie wiedziały, że na nie patrzę.

- Nie wiem... - powiedziała Natasza, wycierając oczy. Czuję, że nigdy już jej nie zobaczę i chciałem, aby tak właśnie się stało. Patrzyła na mnie jak przez szybę, tylko jej usta zaciskały się w cieniutką kreseczkę.

Grażyna usiadła w fotelu, skubiąc ze spódnicy niewidzialne pyłki. Nie pamiętam, żeby kiedyś wyglądała tak bezradnie. Ojciec próbował poratować się drinkiem, ale tak drżały mu ręce, że nie mógł wcelować do kieliszka. Miałem uczucie, że to wszystko rozgrywa się gdzieś daleko ode mnie. Że to rzeczywistość równoległa. Męczący sen, z którego wystarczy się obudzić.

- Proszę się jeszcze zastanowić... dam pani podwyżkę... pięćdziesiąt dolarów... - Matce udało się już zapanować nad głosem.

Natasza zastygła w bezruchu, a potem wzruszyła ramionami.

- Napliwać! - rzuciła z nagłym gniewem. - Nigdy już nie zostawię mojego Saszki! Nie nacieszyłam się nim jeszcze. Zawsze myślałam, że mam czas. Ale teraz już wiem. Nie wolno niczego, co ważne, odkładać na później.

Nie zdążyłem przeprosić Miśka - pomyślało mi się. I już nigdy...

Ostateczność słowa „nigdy” dotarła do mnie po raz pierwszy.

- Pewnie ma pani rację - powiedziała matka, gasząc papierosa w i tak już przepełnionej popielniczce. - Byłabym jednak wdzięczna, gdyby zgodziła się pani tutaj zostać chociaż kilka dni. Chodzi o pokój Michała... I jego rzeczy... Może pani wziąć wszystko, co chce. Resztę trzeba popakować w paczki i zawieźć do domu dziecka. Zadzwoń gdzieś, żeby zabrali meble. Chcę, żeby ten pokój został pusty.

- Dobrze - powiedziała Natasza po chwili namysłu. - Ale kiedy już będzie, wyjadę.

Odwróciła się nagle w moją stronę i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Jak ty z tym będziesz żył, chłopaku?

*

To było pytanie za dziesięć punktów.

Ty też już nigdy mnie nie przeprosisz - pomyślałem o Miśku. Nigdy nie odkręcisz kłamstwa, że to ja dałem ci maryškę.

- Dlaczego on miałby zmyślać? - pytał mnie ojciec, a ja milczałem.

Mógłbym sobie wyobrazić parę powodów. Chciał się pochwalić przed Krzysiem, że jego starszy brat traktuje go jak równego sobie. Wstydił się, że ukraść mi skrety. Był na mnie zły.

- Nawet jeśli jest tak jak mówisz, twoja wina jest nie mniejsza - twierdziła matka. - Trzymałeś narkotyki w pobliżu dziecka. Naraziłeś nie tylko siebie.

Maryśka to nie narkotyk - chciałem powiedzieć, ale znów się nie odezwałem. Nic już niczego nie zmieni.

Przesiadanie przed oknem zaczęło wchodzić mi w nawyk. Nie chcę nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Wszyscy się na mnie gapią, jakbym miał róg na nosie. Albo oko na środku czoła - podpowiada mi moja przeklęta pamięć.

Nie palę. Sama myśl o tym wywołuje we mnie mdłości.

Po prostu trwam. Jak roślina. Znów patrzę na trawę.

Przypominam sobie beskidzkie połoniny, szalone łąny targane wiatrem. To była też trawa - myślę.

Tyle że tamta była wolna. Nikt nie miał nad nią władzy. Nikt nie próbował jej ujarzmić. Chciałbym być jak ona. Obrzydzenie do równo przystrzyżonego trawnika rośnie we mnie gwałtownie, zasłaniam zasłony, już lepiej patrzeć na portret starego. Nagle mam ochotę go odnaleźć, opowiedzieć mu o Miśku i o tym, że uważał go za dziadka.

Są takie ćwiczenia relaksacyjne, które każą - skupiając wzrok na czymkolwiek - oderwać się od rzeczywistości i nie myśleć o niczym. A raczej - pozwalać myślom hulać swobodnie, nie zatrzymując żadnej na dłużej. Jednak wszystkie moje myśli obracają się wokół tego samego, od wielu, wielu dni.

Może powinienem się modlić. Może powinienem się wyspowiadać. Może coś by mi to pomogło. Może.

Wyobrażam sobie, jak klęczę przed konfesjonałem. Czuję, jak mi twardo w kolana. Za drewnianymi kratkami niewidzialne ucho. Widzę je jako byt samoistny. Wielkie ucho spoczywające wygodnie na pluszowej poduszce. Koniecznie bordowej.

Zbliżam się do niego blisko, jak najbliżej, a potem szepczę, mówię, krzyczę, gardło mi wysiada od tego wrzasku, więc kończę znów szeptem, cicho, cichuteńko, żebym tylko ja i Ono mogło to usłyszeć.

Ucho ogromnieje z wrażenia, a potem kurczy się ze strachu. Musi wydać wyrok. Musi mi wybaczyć.

Zastanawiam się, ile zdrowasiek trzeba za to odmówić. Zastanawiam się, jak to jest z seryjnymi mordercami. Ze skazanymi za ludobójstwo. Jak ma wyglądać ich pokuta?

Tajemnica spowiedzi...

Wyobraźnia pracuje mi na zdwojonych obrotach. Nagle czuję ogromne współczucie dla Ucha, które gromadzi Wszystkie Grzechy Świata. Które musi cierpliwie wysłuchiwać

wszystkiego. Któremu nie wolno okazać gniewu ani zniecierpliwienia. Które udziela rozgrzeszenia tym, którzy szczerze żałują.

Żałuję, cóż to za słowo. Poszedłbym na bosaka na koniec świata, gdyby można było to odwrócić.

- Nie możesz już pomóc jemu, pomóż chociaż sobie - powiedział ojciec, nalewając sobie drinka.

Sam sobie pomóż - myślę. Już nie zdarzają ci się wieczory bez towarzystwa butelki. Nie jesteś właściwą osobą do udzielania rad.

- Nie wiem, o czym mówisz - zdobywam się na odpowiedź. - Nie jestem uzależniony, jeśli to sugerujesz... W przeciwieństwie do ciebie i mamy.

Widzę, że jest wściekły. Ale nie podnosi głosu. Ani tym bardziej ręki. Kulturalny w każdym calu. W każdej sytuacji. Chyba że urwie mu się film.

- To nie twój problem. Póki mieszkasz z nami, nie jesteś pełnoletni i nie zarabiasz na siebie, masz się stosować do naszych reguł gry. Nadużyłeś naszego zaufania. Natasza powiedziała nam, że nie sprzątała u ciebie na twoją prośbę. Nietrudno się domyślić, dlaczego ci na tym zależało. Już to było z twojej strony nadużyciem. Od dzisiaj nie ma zamkniętych drzwi. Obowiązuje zasada ograniczonego zaufania. Wszystko jasne?

Nie pamiętam, kiedy ostatnio wygłosił do mnie tak długie przemówienie. Powiedział to wszystko ze wzrokiem utkwionym w wiszące na ścianie *Studium błękitu*. To jedna z rzeczy, których nigdy nie umiałem w nim zaakceptować. Mówiąc, nigdy nie patrzy w oczy. Zawsze czułem się przez to mniej ważny. A jego słowa nie do końca skierowane do mnie.

Natasza wyjechała dziś rano. Obiecała rodzicom, że przyśle na swoje miejsce kogoś zaufanego. Jak najprędzej.

HAIKU 2

Kamyczek gniewu

ostry.

Zegarek tyka.

Czy pójdzie na bosaka przez brudne ruchliwe ulice, wyboiste drogi, lód i rozżarzony piasek pomogłoby mi?

Przekonaj się, kretynie - myślę i nagle nabieram na to ochoty. Zrzucić plecak (z butami w środku, na wszelki wypadek) i ruszyć przed siebie.

Michał miał mieć na imię Misia. Michalinka. Gdybym miał siostrę, toby pewnie żyła - myślę bez sensu, nienawidzę się za te myśli.

Przez brukowaną płaskimi kamieniami ścieżkę idzie matka. Zawsze lubiła ubierać się na czarno, ale teraz ta czerń coś znaczy. Gdzie twój samochód - dziwię się, zwykle wjeżdża prosto do garażu.

Mam ochotę zabić deskami drzwi, żeby nie mogła się do mnie dostać. Albo wyskoczyć przez okno i pobiec przez trawnik do kutej bramy. Gdyby ta trawa była wysoka. Gdyby można się było w niej schować. Nad głową tylko pierzaste kity i chmury.

Jesteś tchórzem - powtarzam sobie po raz setny. Siedzę w kącie, nasłuchuję, nie mogę już znieść tego czekania, zegarek tyka, nastawiam głośno muzykę, za głośno, to powinno ją sprowokować. Bo przecież niczego innego nie chcę, jak tylko żeby stanęła obok. Żeby wydlubała gwoździe z drzwi, którymi chciałem je zabić. Tu jestem, wrzeszczy trąbka. Tu jestem, próbuje ją wziąć pod włos saksofon, ale nic się nie dzieje, drzwi wciąż zamknięte, widzę, jak znów idzie przez trawnik, w przeciwną stronę, szybko, coraz szybciej, jakby uciekała ode mnie, a może od trąbki, na pewno od trąbki...

Może być i tak. Proszę bardzo. Rośnie we mnie ostry kamyczek gniewu. Możemy się omijać szerokim łukiem. Tak szerokim, żeby nie czuć własnego zapachu. Ani potu, ani wody kolońskiej, ani myśli.

Zaczynam chodzić w kółko, jakbym chciał zapełnić sobą pustkę. Kiedy się poruszam, wydaje mi się, że bardziej żyję. Co to właściwie znaczy? Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałem. Przecież żyją również ludzie obłożnie chorzy, przykuci do łóżka na zawsze. Coś jednak mają z tego życia, skoro nie chcą odchodzić. Może nadzieję? Nagle poraża mnie ogrom własnych możliwości. Mogę wszystko, dlaczego więc nic mi się nie chce? Jakby ze

śmiercią Michała ze mnie też uleciało życie.

Przez chwilę odbijam piłkę, potem siadam przed komputerem, ale nic nie może wciągnąć mnie na dłużej.

Próbuję odrobić lekcje, ale to beznadziejne. Co mnie obchodzi stożek wpisany w kulę? Albo ukształtowanie terenu w północnej Afryce? Chyba że będę tamtędy leciał na piechotę, znów staje przede mną wizja samego siebie na bosaka.

Komórka rozbrzmiewa melodyjką, nie rozpoznaję numeru, ale odbieram.

- Gdzie jesteś? - Słyszę głos Mata.

Ostatnim razem dzwonił do mnie, kiedy byłem, kiedy byliśmy...

- Masz dla mnie forszę? - odpowiadam pytaniem na pytanie.

Przez chwilę wsłuchuję się w ciszę.

- Częściowo - pada wreszcie. - Na razie pięćset.

Rozsądek podpowiada mi brać zaraz, co daje. Wolałbym umówić się gdzie indziej, ale połączenie już przerwane.

Rozlega się domofon. Musiał telefonować spod bramy - myślę i otwieram ją pilotem. To zawsze robi na chłopakach wrażenie.

Mat w swoich łachach z demobilu wygląda, jakby nawiał z frontu.

- Sie masz... - Potrząsa moją ręką, przemierzamy salon, Mat rozgląda się ciekawie. - Ale lepianka...

- Przecież już widziałeś... - Wzruszam ramionami.

- Ile tu jest metrów?

- Prawie trzysta... - bąkam niechętnie. Co go to obchodzi?

- U nas wychodzi osiem metrów na sztukę. A tutaj - trzysta na... na...

Wyraźnie nie może się nas doliczyć.

- Na trzy - skracam jego cierpienie. - Sto na głowę, jak na dzień dzisiejszy...

Mat jakby się kurczy, spogląda na mnie spode łba, wyciąga zioło i robimy skręty.

- Zapalisz? - Częstuje. Nagle mam na to straszną ochotę. - To nie twoja wina... - zaczyna niepewnie. - Wiesz o tym, prawda?

Powtarzaj mi to dziesięć razy dziennie, powtarzajcie wszyscy, a może uwierzę.

Myślę o tym bez przerwy, ale to nie temat na pogaduszki. A już na pewno nie z Matem. Zresztą na razie z nikim.

- Daj spokój - ucinam, zaciągam się głęboko, a po chwili przeliczam forszę.

- Reszta za tydzień... - Wyjaśnia. Pożyjemy, zobaczymy...

Przysiadam na parapecie, robię Matowi miejsce obok. Czy po to przyszedł, żeby dać

mi skrećta? Czy może przez ciekawość? Ostatnio w szkole wszyscy mnie traktowali, jakbym był ze szkła. Nie wiedzieli, jak ze mną gadać. I o czym. A może on został wydelegowany - przemyka mi przez głowę - no tak, kazali mu wybadać, co i jak. Bo w końcu cała ta historia to niezła sensacja. Parę dni temu przyleźli nawet jacyś z kamerami, ale rodzice odesłali ich do diabła.

- Nieszczęście, które nas spotkało, jest naszą prywatną sprawą. Nie życzymy sobie rozgłosu - powiedział ojciec.

- To się i tak rozniesie... - słyszałem, jak później mówiła mu matka. - To wymarzony temat dla brukowców, nie przepuszczą takiej okazji.

Wiem, że dokonali cudu, żeby się do mnie nie przyczepiła policja. Nie wiem, czy cud miał wymiar finansowy. Co to ma za znaczenie - myślę znowu, z każdym dymkiem wszystko ma znaczenie mniejsze, nawet spojrzenie Mata przestaje mnie z wolna wkurzać, fajny z niego kumpel, wiedział, czego mi potrzeba.

Klepię go po plecach, gdybym zapalił jeszcze jednego, może nawet stałbym się rozmowny, ale Mat nie proponuje, a ja nie nalegam. Wydaje mi się, że wyrosło parę nowych kopczyków, więc mówimy o kretach, równie dobry temat jak każdy inny. A potem Mat przeciąga się i wstaje. Nie chcę zostać sam. Nie dzisiaj. Nie teraz. Lepszy on niż nikt.

- Spieszysz się? - Robię, co mogę, żeby brzmieć obojętnie.

Wzrusza ramionami.

- U Teresy jest wolna chata. Zaprosiła parę osób. Jeśli chcesz...

- Mnie nie zapraszała... - bąkam niepewnie, chwilę się waham, starzy się wściekną, jak zniknę bez uprzedzenia. Jeśli zauważą - myślę z przekąsem. W końcu smaruję kartkę: *Pojechałem do Teresy. Wrócę o dziesiątej*, dokładnie tyle informacji, ile ode mnie oczekują, i zostawiam ją w widocznym miejscu.

Nie wiem, czy zastosowałem się jak należy do reguły ograniczonego zaufania, na temat której przemawiał ojciec, ale chwilowo mam to gdzieś.

Wsiadamy na rowery, jazda sprawia mi przyjemność. W narożnym sklepie kupujemy dwa piwa.

U Teresy jest już gęsto. Kiedy wchodzę, ucicha, wszyscy się na mnie gapią.

Powinieneś mi dać zapalić, zanim tu wlałem - zerkam na Mata ze złością, musi wyczuwać mój nastrój, a może po prostu chce zarobić, bo pyta:

- To ile chcesz?

Tyle, żeby stać się niewidzialnym - chciałbym mu odpowiedzieć. Żeby przestać myśleć i żeby poczuć się, jak trzeba.

Ale mówię ile, podnosi brwi, biorę spory zapas.

- Dobrze, że przyszedłeś! - Ktoś wali mnie po plecach.

A ja rozglądam się uważnie, szukam tej jednej jedynej osoby, którą chciałbym zobaczyć. Bo mimo że sprawa jest już jasna, wciąż za nią tęsknię. Może tylko ze mną pogrywa. Może z tym blondaskiem to było chwilowe. Wybaczę ci - postanawiam.

Jest. W samym kącie. Szepcze z przyjaciółką. Mogłabyś do mnie podejść, proszę ją bezgłośnie, ale nie reaguje. Inaczej ja to zrobię, po kolejnym skręcie wzbiera we mnie odwaga i na usta wypełza głupi śmiech, wyciągam do niej rękę.

- Zatańczysz?

Ze dwie pary wyginają się, na ile im pozwala miejsce, jeszcze my się zmieścimy...

Danka kręci głową.

- Nie powinienes - słyszę. - Nie dzisiaj. I nie jutro.

- A kiedy? - rzucam zaczepnie.

Przyjaciółka się zmywa, chociaż Danka próbuje ją przytrzymać, więc zajmuję jej miejsce.

- A kiedy? - powtarzam.

- Nie wiem. Nie jestem tobą.

- No właśnie. Więc skąd wiesz, że to nie dzisiaj? Uważasz, że dla Michałka to jest jakaś różnica, czy tańczę, czy nie, i kiedy? - pytam. Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie, wierzę, że Danka coś mi wyjaśni.

- Nie dla niego. Dla ciebie. Dla ciebie samego! - wybucha. - Jak możesz się bawić po tym, co się stało?

- A co mam robić, twoim zdaniem? - Podsuwam jej skręta, ale odwraca się gwałtownie.

- Nie od ciebie - słyszę.

Znów ogarnia mnie pusty śmiech. Wstaję i robię „jaskółkę”.

- Błazen - mówi.

Mimo wszystko chcę ją objąć. Chcę tego tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Potrzebuję się do niej przytulić. Ale nie daje mi szans.

- Dlaczego? - pytam najpierw cicho, a potem krzyczę, na cały głos: - Dlatego, że mój brat się powiesił?! - Przekrzykuję muzykę, ktoś przewraca krzesło, ktoś chwyta mnie za ramiona, jakaś dziewczyna zarzuca mi ręce na szyję, ale to nie te ręce i nie ta dziewczyna, więc je zdejmuję stanowczo i już jestem za drzwiami.

- Jacek!!! - ktoś krzyczy za mną z okna, ale nawet nie zadzieram głowy.

HAIKU 3

*Gromada cieni.
Nie ma już we mnie
strachu.*

Rower niesie mnie przed siebie. Pedałuję, ile sił. Mam uczucie, że nie dotykam ziemi, że siedzę na latającym dywanie, w uszach wciąż dudni mi muzyka o wschodnim rodowodzie, stąd pewnie ten dywan. Nie wiem, jak znalazłem się nad rzeką, odbijają się w niej latarnie, a może również księżyc, kto wie.

Mój brat interesował się księżycem. Nauczył się słowa „astrolog” i brylował nim przed ciotkami.

- Jak będę duży, będę astrologiem... - chwalił się, przykładając do oka tekturową rolkę. - Przez nią zupełnie inaczej widać, zobacz! - pokazywał, kiedy się śmiałem. Najdziwniejsze, że miał rację.

- Nie będziesz astrologiem - mówię, mając nadzieję, że mnie słyszy, gdziekolwiek jest. - Zresztą po co ci to. Teraz i tak wiesz więcej od nas.

Mój latający dywan zwija się nagle pode mną, ląduję twardo na ziemi. Wszystko mam całe, oprócz roweru. Koło się wykrzywiło, w ciemności nie zauważyłem niewielkiego murku, który zastąpił nam drogę. A może miałem nadzieję, że nad nim przeleczę?

Tak czy owak, o dalszej jeździe nie ma mowy. Nie bardzo wiem, gdzie jestem. Jedno jest pewne: daleko od domu.

Przysiadam, wyciągam skręta, okazuje się jednak, że nie mam zapalek, więc chowam go z powrotem.

Ruszam, prowadząc rower, wcale nie jest to proste. Nie wziąłem ze sobą komórki, nie mam karty, żeby zadzwonić z automatu, mogliby po mnie przyjechać.

Nazwy mijanych ulic niewiele mi mówią, idę na azymut. Zrywa się wiatr, powietrze pachnie deszczem.

Z ciemnej uliczki wyłania się gromada cieni. *Deja vue...* Sytuacja bliźniacza, jak kiedyś po kinie, ja jednak czuję się inaczej. Nie ma już we mnie strachu. Nie mam czasu na analizowanie tej zmiany. Idą wprost na mnie. Instynktownie, rzeczowo zastanawiam się, co mogę stracić oprócz życia. Ich sposób poruszania się i to, co mówią, nie pozostawia wątpliwości, co do ich zamiarów. Na ucieczkę i tak nie mam szans. Są już za blisko.

- To mój rower - mówi jeden z wygoloną głową. - Ukradłeś go.

Sterczy naprzeciwko mnie. Jest okropnie brzydki.

- Przepraszam... - odzywa się stojąca obok niego dziewczyna. Jest nawalona, to pewne.

- Przepraszam - mówię i oddaję mu kierownicę. Zamiast wściekłości czuję kretyńską ulgę, nie wiem, jak bym go dowlóknął do domu.

- W dodatku pogięty... - Łysy ogląda koło. Zaraz mi przyłoży - myślę, więc kulę się w sobie. - Co jeszcze ukradłeś? - Nie daje za wygraną.

- Zegarek - domyśla się dziewczyna, więc go spiesznie ściągam.

Widzę zbliżające się światła, przejeżdża samochód. I znów jesteśmy sami.

- Kieszenie - warczy któryś, wyciągam dychę i trawkę, którą kupiłem od Mata. Na dnie kieszeni czuję ostatniego skręta. Nie powinni mnie już sprawdzać, byłem grzeczny, nie stawiałem im się.

Słyszę szczekanie psa. Biegnie w naszą stronę, gdzieś z tyłu właściciel. Dziękuję, piesku, kto wie, czy mnie nie uratowałeś. Chociaż, z drugiej strony... Pierwszy raz przychodzi mi do głowy, że nie chce mi się żyć.

- Mogę iść? - pytam jednak.

Zamiast odpowiedzi czuję cios w żołądek, kiedy się prostuję, już ich nie ma.

Jest za to właściciel psa, w zasięgu mego głosu.

- Przepraszam pana - próbuję - przed chwilą zostałem okradziony. Pewnie pan widział...

- Nic nie widziałem. - Kręci głową, za chwilę sobie pójdzie.

Nie chce się mieszać, zeznawać, pewnie gdzieś tu mieszka. Nawet nie mam mu za złe. Na szyi czuję pierwsze krople.

- Nie mam ani grosza. Gdyby mógł pan zadzwonić do mnie do domu, powiedzieć, że tu jestem. Bardzo proszę. Mam na imię Jacek. - Widzę, że się waha, więc rzucam desperacko:

- Muszą się niepokoić. Wie pan, niedawno był pogrzeb mojego brata...

Jest mi aż słabo z obrzydzenia do siebie. Tekst wywarł oczekiwany skutek. Facet zapisuje mój numer, obiecuje zadzwonić i wierzę, że to zrobi.

- Za tamtym rogiem - pokazuje - jest wiata autobusu. Tam czekaj. Pada... - dodaje na pożegnanie, jakbym tego nie czuł, i gwizdże na psa.

*

Czekanie dłuży mi się w nieskończoność. Zastanawiam się, które z nich przyjedzie, obstawiam ojca.

Jeździ tu tylko jeden autobus, którego numer nic mi nie mówi. Na ławce siedzi starszy mężczyzna, pali papierosa.

Mógłbym poprosić go o ogień - myślę, obracając w palcach skręta. Łatwiej byłoby mi się z nimi spotkać. I wysłuchać, co mają do powiedzenia. Boję się jednak, że mnie nakryją.

Nagle wydaję się sam sobie śmieszny i żaloszny. W obliczu tego, co się stało, nic już nie ma znaczenia: nie tylko mój głupi rower i zegarek, ale również mój skręt, cios w żołądek, spóźnienie do domu. Nadjeżdża autobus. Nikt nie wysiada, nikt nie wsiada. Mierzymy się z mężczyzną wzrokiem, ale żaden z nas nic nie mówi.

Ja przynajmniej na coś czekam - myślę, widząc zbliżający się wóz matki. A więc nie zgadłem. Przyjechała ona.

- Cześć - witam się.

- Cześć - odpowiada i rusza szybko. - Nic ci nie jest? - pyta po dłuższej chwili.

- Nic. - Wstrząsają mną dreszcze. - Ukradli mi rower - mówię. - I zegarek.

- Jest prawie północ - słyszę.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc milczę.

- Dobrze, że ten facet zgodził się do was zadzwonić - odzywam się wreszcie.

- A gdyby się nie zgodził? Co byś zrobił?

- Może bym złapał taksówkę. Mam nadzieję, że byście mnie wykupili...

Podjeżdżamy pod bramę, otwiera się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Już wiem, dlaczego nie przyjechał ojciec. Siedzi w fotelu, ma mętny wzrok, na stoliku stoi poważnie naruszona butelka brandy. Wcale nie byłem pewny, czy go zobaczę, on jednak wydaje się na mnie czekać.

- Gnojek z ciebie - pada na przywitanie.

- Daj spokój - próbuje matka, ale nie ma szans.

Wygarnij mi - proszę go bezgłośnie. Możesz mnie nawet walnąć, jeśli ci to ulży. Tylko nie udawaj, jak to masz w zwyczaju, że nie istnieję. Wygląda jednak, że to wszystko, co miał mi do powiedzenia.

- Dlaczego tak uważasz? - zdobywam się na pytanie. - Dlatego że dałem sobie odebrać rower, zamiast o niego walczyć do ostatniej kropli krwi? - prowokuję go, jak mogę.

- Dlatego że jesteś wyzbyty uczuć. - Nie wierzę własnym uszom. - I dlatego, że jesteś ćpun.

- Chyba nie wiesz, co to znaczy - mówię, chociaż mam ochotę powiedzieć coś innego: „Jeszcze nie jestem...”

Przeraża mnie potrzeba pokazania mu, co to naprawdę znaczy być ćpunem. Po raz

pierwszy mam ochotę spróbować czegoś mocniejszego. Dla nich to i tak bez różnicy. Już mnie sklasyfikowali. I osądzili. A dla mnie? Tego jeszcze nie wiem. Widzę, że matka rusza ustami, pogrążony w myślach nie słyszę, co do mnie mówi. Ale powtarza. Nie wierzę własnym uszom.

- Pokaż kieszenie, proszę...

- Nie każ mi tego robić... - Mój głos dociera do mnie obco. - Już raz to dzisiaj przerabiałem. Zupełnie niedawno. Choćby z tego względu moglibyście sobie odpuścić.

- Ustaliliśmy zasadę ograniczonego zaufania, pamiętasz? - Ojciec podnosi się, staje naprzeciwko mnie, jego wzrok, jak zwykle, buja gdzieś obok.

- To nie jest ograniczone zaufanie, tylko jego brak - próbuję jeszcze polemizować, przypomina mi się samotny skręt na dnie kieszeni, uratowałem go po to, aby teraz... Zamykam oczy, pod powiekami jarzy mi się papieros samotnika na ławce, dlaczego nie poprosiłem go o ogień, dlaczego, dlaczego, dlaczego. Konsekwencje drobnych na pozór zdarzeń układają się w ciągi przyczynowo - skutkowe, joint leży już na stoliku.

- Wstrzymujemy ci kieszonkowe - słyszę głos matki.

To już wszystko? Patrzę z niedowierzaniem, jak wychodzą zgodnie z salonu, zostawiając mnie samego.

Nalewam do wanny gorącą wodę, ale nawet ona nie jest w stanie mnie rozgrzać. Patrzę na zapomnianą łódeczkę Michała, aż dziwne, że nikt jej jeszcze nie usunął, pewnie dlatego, że rodzice mają własną łazienkę. To ja mu ją kupiłem - przypominam sobie i nagle zaczynam płakać.

HAIKU 4

Skrzypnięcie furtki.

Kometa

zniknęła za rogiem.

Co noc budzę się o trzeciej. Ani minutę wcześniej, ani później. I potem nie mogę już zasnąć. Czasami idę coś zjeść, czasami piję zieloną herbatę, czasami próbuję czytać. Ale najczęściej leżę i myślę. Albo siedzę owinięty kocem i gapię się na trawę. Jest podświetlona małymi lampkami. Koło skalnego ogródka w oczku wodnym śpią złote rybki. Ciekawe, czy miewają sny.

Nasz kot, kiedy spał, poruszał często łapkami albo czubkiem ogona. Myślę, że we śnie polował. Trzeba było go oddać, bo Michał miał uczulenie na sierść.

Chciałbym mieć psa. Łazilibyśmy na dalekie spacerzy. Albo mógłby biegać za moim rowerem. Bo jednak kupili mi nowy.

Nie palę, po szkole wracam do domu. Chodzę na pływalnię, dwa razy w tygodniu na korty, z ojcem. Z nikim się nie spotykam. Prawie od miesiąca.

Czasami wydaje mi się, że to ja nie żyję. Wszystko, co się dzieje, jest jakby poza mną. Patrzę na siebie z boku jak na obcego faceta. To on je, uczy się, słucha muzyki, gapi się w sufit, budzi się o trzeciej rano. Ma dobre stosunki z rodzicami. Dostaje znów kieszonkowe, które gromadzi w blaszanym pudełku po piłkach tenisowych. Na bliżej nieokreślone później.

Kilka razy ktoś próbował wyciągnąć go na jakieś imprezy, ale on nie miał ochoty.

Pokój Michałka został zamieniony na „gościnny”, pewnie będzie w nim nocowała babcia, jeśli kiedyś przyjedzie.

- Oczywiście, gdybyś chciał przenocować kogoś ze swoich znajomych, nie ma przeszkód. Musimy tylko wiedzieć, kto to jest, no i uzgodnić to z jego rodzicami - powiedziała matka.

Już to widzę.

Wczoraj przyszedł list od Nataszy.

Dzień dobry - napisała. - Niedługo przyjedzie do Was Gienia. To żona mojego kuzyna. Nie układa im się za dobrze i dzieci nie mają, to tęsknić nie będzie.

Kupiliśmy cegły i drewno tanie nam się trafiło, i mój Jura będzie robił większy dom.

Może to i lepsze niż mieszkanie w bloku, bo ziemia blisko i marchewczkę można zasadzić i kartofle własne. Nakupowałam u was nasion i już wszystko wschodzi aż miło. No i Soszka ma Świeże powietrze i miejsce do polatania. Cieszę się, że już wróciłam, bo w tym bloku, co go sobie wymyśliłam, wcale nie byłoby mi lepiej. No i mama coraz starsza, smutno by jej było samej mieszkać.

Za te pieniądze, co u Was zarobiłam, to nam na wszystko wystarczy, nawet trochę zostanie na czarną godzinę. Już liczyliśmy. Więc jeszcze raz dziękuję. A jakbyście byli w tych stronach, to zapraszam na obiad.

A co wspomnę o tym, co się u Was stało, to płaczę.

Zapaliłam w kościele świecę, żeby Wam się lepiej wiodło.

Natasza

*

Na ogół jestem sam. Starzy chyba jeszcze więcej pracują, bo ciągle ich nie ma, wydaje mi się, że nawet oni widują się coraz krócej. A kiedy jesteśmy już razem, nie umiemy ze sobą rozmawiać.

Coraz bardziej tęsknię za Michałem.

Dzisiaj, kiedy byłem w ogrodzie, poczułem, że ktoś mi się przygląda, zza płotu u sąsiadów. Krzyś siedział w krzakach, nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Cześć! - Machnąłem do niego, ale nie zareagował. Podszedłem bliżej. - Co mi się tak przyglądasz?

- Ciągłe palisz trawkę? - spytał.

- Nie - pokręciłem głową.

- Dlaczego? - padło, a ja nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. - Boisz się?

- Ty też wtedy paliłeś, czy tylko Michał? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Ja nie zdążyłem... - Rozejrzał się niespokojnie.

- Nie rób tego więcej.

- Nie jestem głupi - rzekł poważnie i nagle uciekł.

Usłyszałem skrzypnięcie furtki, ktoś tam przyszedł. Pewnie nie pozwalają mu ze mną rozmawiać - przemknęło mi przez głowę.

A potem wróciło pytanie, które zadał.

Chyba znalazłem odpowiedź. Nie paliłem, żeby pokazać sobie i światu, że nie muszę. Robię, co chcę. Jestem wolny człowiek. Mogę zapalić, a mogę nie. Nie jestem żadnym nałogowcem. I nigdy nie byłem. A Michał sam wykradł mi skręta. Nigdy w życiu bym mu nie

dał. Nie mogę bez końca winić się za jego pomysły. Bunt wzmagał we mnie, buzował jak młode wino.

Czułem się jak nowo narodzony. Miałem nagle ochotę na wszystko. Wszystko, czego nie robiłem od ponad miesiąca.

Przecież to piątek, uświadomiłem sobie i za chwilę byłem gotowy do wyjścia.

*

Potrzebna ci jest nowa dziewczyna, chłopie - mruknąłem do siebie i przyspieszyłem kroku, zupełnie jakby już na mnie czekała.

W klubie było jeszcze pustawo, co miało swoje zalety. Zamówiłem piwo i usiadłem na wysokim stołku, skąd był niezły widok na wejście.

Oceniałem wchodzące dziewczyny i to, na ile były do wzięcia. Dużo było ładnych, jeszcze więcej samotnych, ale żadna z nich mnie nie zainteresowała. Przynajmniej na dzień dobry.

Muzyka grzała na całego, spojrzałem na parkiet. Mrugające światełko uchwyciło małą trójkątną twarz o wielkich oczach. Dziewczyna podrygiwała w rytm muzyki, nieobecna duchem. Po chwili podrygiwałem obok niej. Chyba mnie nawet nie zauważyła. Po kilku kawałkach, krzyknąłem jej do ucha:

- Napijesz się czegoś?!

Potrząsnęła głową, nie przerywając tańca.

To nic nie znaczy - powstrzymałem swój odruch, aby rozejrzeć się za kimś innym. Może po prostu nie chce jej się pić.

Tym razem wziąłem colę. Starąłem się nie spuszczać z niej wzroku. Coś z nią jest - myślałem. Dziewczyna śmiała się do siebie, gdzieś do środka. Nikt jej nie był potrzebny. Ani ja, ani nikt inny. Nie przyszła tu na polowanie.

W pewnej chwili, w połowie czegoś wolniejszego, zeszła z parkietu. Poszedłem za nią. Widziałem, jak wita się w przelocie z kilkoma osobami, przystaje koło jakiegoś faceta i wyciąga forszę.

- Sie masz! - ryknęło mi koło ucha.

Mat, Przemas, Dyziek i jakieś dwie laski.

Gada mi się z nimi, jakbyśmy ostatnio bawili się wczoraj.

- Chodźcie, zapalimy... - proponuje Przemas, rozglądam się za tą z oczami, ale już zniknęła, więc idziemy na podwórko.

Nie mogę się połapać, czy laski są przynależne, czy jeszcze wolne, nie to, żebym miał

ochotę, ale lepiej wiedzieć.

- Fajna bluza... - rzuca jedna, dotykając mojego rękawa.

- Fajny głos... - rewanzuję się jej. Głos ma rzeczywiście niezwykły, głęboki i mocny.

- Ona śpiewa jazz - wtrąca Dyziek. - Musisz kiedyś posłuchać.

- Muszę - przyznaję nieuważnie, bo właśnie ją zobaczyłem. Stoi samotnie w kącie, więc przepraszam towarzystwo i idę do niej.

- Zgubiłem cię - mówię.

Przygląda mi się, bez zdziwienia.

- Nie pamiętam, żebyś mnie kiedyś znalazł - odzywa się wreszcie.

Podoba mi się ten tekst, jestem jej coraz bardziej ciekaw, z bliska jej twarz wydaje mi się dziwnie bez wieku, młoda i stara jednocześnie i chociaż gdzieś jestem pewny, że musi być młodsza ode mnie, coś w niej jest wiekowego.

Chciałbym ją o to zapytać, ale pytanie o wiek nie jest chyba najlepsze na dzień dobry, więc powstrzymuję się z trudem.

- Teraz. Teraz cię znalazłem - mówię w końcu.

Nie robi to na niej wrażenia. Zastanawiam się, co mogłoby zmienić wyraz twarzy dziewczyny. Mam ochotę zrobić jej zdjęcie. A właściwie niejedno. Proponuję, żeby do mnie wpadła. Na sesję zdjęciową.

- Ile? - pyta. W pierwszej chwili nie załapuję, o co jej chodzi. Dopiero kiedy chce odejść, dociera do mnie, podnoszę brwi. Coś takiego - myślę, ta mała ma tupet...

- Co proponujesz? - staram się brzmieć obojętnie, żeby jej nie spłoszyć.

- Dwie działki. - Pierwszy raz jej twarz się zmieniła. - Albo trzy - dodała szybko, zanim zdążyłem zareagować.

- Dwie - powiedziałem stanowczo, nie mając pojęcia jaki jest przelicznik. Spytałem o to, gdy wreszcie skinęła głową. Było mnie na nią stać, chociaż z trudem.

- Na razie dostaniesz na jedną. Reszta w chałupie, po sesji. Nie mam tu tyle - dodałem spieszenie, żeby nie pomyślała, że jej nie dowierzam.

I znów patrzyłem, jak idzie do tego samego faceta, co poprzednio.

- Uważaj na nią... - usłyszałem obok siebie głos Mata. - To skończona ćpunka.

Wariatka. Mała kurewka.

- Spadaj - warknąłem. Anioł stróż się znalazł...

- Włazisz w gówna. Ostrzegam cię. Danką to przy niej wzór cnót. - Wyraźnie nie zamierzał się odczepić.

- Jutro potrzebuję resztę forsy - oznajmiłem nagle. Czułem, że zmiana tematu dobrze

mu zrobi i się nie myliłem.

- Postaram się... - wybąkał. Nie miałem dłużej ochoty na jego towarzystwo, tym bardziej że dziewczyna zmierzała już w moją stronę.

- Na dużej przerwie - rzuciłem na pożegnanie.

Chyba nie jestem przy zdrowych zmysłach - myślałem, idąc obok milczącej dziewczyny. Mogłem być teraz z tą, która śpiewa jazz. Była ładniejsza od mojej towarzyszki i pewnie Mat nie określiłby jej żadnym z epitetów, którymi obdarzył... Uświadomiłem sobie, że nie znam nawet jej imienia.

- Jacek... - Wyciągnąłem rękę.

Zlekceważyła ją całkowicie. Szła obok, uśmiechając się do czegoś w środku, co ze mną nie miało nic wspólnego. Całkowity brak kontaktu wytrącił mnie z równowagi. Zatrzymałem się, czekając, co zrobi. Poszła naprzód. Obserwowałem jej taneczny chód, aż zniknęła za rogiem. Postąłem chwilę, licząc, że może wróci, a w końcu puściłem się za nią pędem. Zastąpiłem jej drogę, chwytając za ramiona.

- Znowu mnie zgubiłeś? - spytała.

A więc jednak coś kojarzy, coś pamięta - pomyślałem ze zdumieniem.

- I znowu znalazłem. Jak masz na imię?

- Kometa - oznajmiła z powagą.

HAIKU 5

*Mężczyzna w czapce
zaczyna płakać.
Zniszczy mi zdjęcie.*

Miałem niczym nieuzasadnioną nadzieję, że nikogo nie będzie w domu. Ciemne okna zdziwiły mnie jednak, było za wcześnie na to, aby spali, za późno, by zniknąć bez uprzedzenia. Ja też ich nie uprzedziłem - przypomniałem sobie, otwierając przed Kometa drzwi.

Przemierzyła salon bez ciekawości, nie rozglądając się jak zwykle ludzie, którzy są gdzieś po raz pierwszy. Zachowywała się, jakby była tu stałym bywalcem.

- Napijesz się czegoś? - spytałem, kiedy usiadła na krześle przy moim biurku.

Nie odpowiedziała, jak zwykle. Tym razem jednak wpatrzona była nie w siebie, ale w zdjęcie starego mężczyzny w wełnianej czapce. Czekałem, aż się odezwie, bałem się pytaniem spłoszyć ewentualną odpowiedź lub to, co może miała do powiedzenia.

- Skąd masz zdjęcie mojego dziadka? - usłyszałem po chwili.

Oparłem się o ścianę. To wszystko było coraz bardziej dziwaczne.

- On jest również dziadkiem mojego brata - powiedziałem po chwili.

- A twoim nie?

- Moim nie.

Miałem nadzieję, że nareszcie ją czymś zaciekałem.

- W takim razie chciałabym go poznać - odparła po chwili.

- Chyba znasz własnego dziadka...

- Twojego brata. - Nie spuszczała wzroku ze zdjęcia.

Nie byłem w nastroju, żeby jej się zwierzać. Jednak coś w moim milczeniu zaniepokoiło ją, bo po raz pierwszy spojrzała mi w oczy.

- Coś nie tak? - spytała ostro.

- Wszystko. - Kiwnąłem głową.

Sięgnęła do kieszeni.

- Zajaramy?

Wyjęła z kieszeni torebkę z brązowym proszkiem folię, na którą wysypała trochę brauna. Podgrzewała go bez słowa. Włączyłem jakiegoś bluesa, bo nagle zaczęła

przeszkadzać mi cisza. Trochę też się bałem. Nie powiedziałbym jej tego za nic, ale nigdy dotąd nie próbowałem hery.

Michał też chciał spróbować - przypomina mi się, ale nie chcę o tym pamiętać ani teraz, ani nigdy więcej, przecież nie mogę wciąż o tym myśleć, bo wyląduję w wariatkowie.

Najpierw Kometa wsuwa sobie rurkę do nosa, a potem ja.

Nie wiadomo, dlaczego mężczyzna w czapce zaczyna płakać. Zalewa się łzami, roztapiają jego twarz, nie ma już brody, za chwilę zniknie nos. Zniszczy mi zdjęcie - myślę, próbuję go namówić, żeby przestał, ale mnie nie słucha. Wycieram mu łzy chusteczką, nic to nie pomaga, Kometa usiłuje mi w tym przeszkodzić, trochę się szamoczemy, a potem lądujemy w łóżku. Jej drobne ciało jest ciepłe i miękkie, jakby ważyła sto kilo, zaczyna śpiewać, jej głos wsiąka w bluesa, a ja w nią i jeszcze w coś, czego nie znam, co daje spokój.

- Pojedziemy łowić ryby - mówię.

Wyobrażam sobie morze, błyszczące w promieniach wschodu, nikt ode mnie niczego nie chce, siedzę na burcie, motor cicho mruczy, obok Kometa, a na rufie dziadek i sieci.

Zostaniemy tam na zawsze - myślę i ta myśl dodaje mi skrzydeł.

Zabieram całą kasę i ciągnę dziewczynę do wyjścia. Nie opiera się, wciąż śpiewa czymś bez słów, mam uczucie, że poruszam się niezależnie od nóg, a zaraz potem, że mam ich sześć. Sam nie wiem, co jest bardziej przyjemne.

Nagle dwa złote mlecze odrywają się od ziemi, są wielkie i błyszczące, pędzą prosto na mnie. Dlaczego tak warczą - myślę, zanim wyrasta przede mną matka, a potem ojciec. Mlecze znikają tak nagle jak się pojawiły, a na ich miejscu stoi samochód. Matka mówi coś bez sensu, nie mam ochoty tego słuchać, zdaje się, że mnie obraza, a przecież nie ma żadnego powodu. Próbuję być miły, przedstawiam Kometę, która śpiewa coraz głośniej, podoba mi się to, najbardziej nie lubię, kiedy ludzie wciąż milczą.

Chyba nie przypadła im do gustu, ojciec chwyta mnie za rękę, co to to nie, ryby najlepiej biorą o świcie. Chcę mu to wytłumaczyć, ale nie słucha, jak zwykle, więc schylam się i gryzę go w rękę, pamiętam, jak kiedyś, lata świetlne temu, dostałem za to lanie. Tym razem jednak nic się nie dzieje, pewnie dlatego, że nie ugryzłem mocno, biorę pod rękę Kometę i wychodzimy za bramę.

*

Co ja tu robię - myślę, a raczej myśli ktoś we mnie, ktoś, kto może jest jeszcze trochę mną, bo ja już sobą być przestałem. Leżę we własnych wymiocinach, bołą mnie stopy, telepie mnie, jakby to był styczeń. Próbuję podnieść głowę, ale waży z tonę, więc przekręcam się

tylko na bok i gapię na wodę. Jest mętna, płyną nią patyki. Miałem łowić ryby - przypomina mi się nagle. Głośny szelest odwraca moją uwagę od rzeki: wartki prąd nie pozostawia wątpliwości, że woda jest rzeką. Kometa wypęła z zarośli z kwiatami we włosach. Jest bardzo brudna.

- Zjadłabym pomidorową - mówi na dzień dobry.

Nie wiem, czy liczy na to, że jej ugotuję. Udaje mi się wreszcie rozejrzeć wokół. Warszawa. Wisła. Zamykam znów oczy. Pod powiekami widzę wschód słońca i rybacki kuter.

- Nie tak miało być - mamroczę.

- Nigdy tak nie jest - oznajmia Kometa.

W jej głosie brzmi spokojna pewność.

Ściągam porzygany sweter, robi mi się jeszcze zimniej, na zegarku już dziewiąta, uświadamiam sobie, że dzisiaj jest sprawdzian z matmy i już nie zdążę.

Marzę o saunie i mocnej herbacie.

Dźwigam się z trudem. Kometa siedzi teraz po turecku, podgrzewa brauna.

- Po tym jest lepiej - mówi.

- Zauważyłem... - Miało to zabrzmieć ironicznie, ale chyba nie załapała. Nigdy się gorzej nie czułem.

- Raz ci dam pociągnąć - słyszę, ale nic nie odpowiadam i ruszam w drogę.

Komety przemykają i gasną - myślę. Nie chcę jej widzieć.

Z wczorajszego wieczoru niewiele pamiętam, łeb mam jak podziurawiony ser, w kieszeni znajduję bilet, nic więcej. Wygląda na to, że nie wziąłem kluczy. Próbuję skupić się na kasie, wydawało mi się, że miałem ze sobą pieniądze...

Czuję nagły niepokój.

Nie wiem, jak dostanę się do domu, nie wyobrażam sobie jednak, że mógłbym wkroczyć w tym stanie do agencji matki bądź biura ojca. Zresztą nie mam żadnych gwarancji, czy ojciec nie leci teraz na przykład do Lizbony.

Ku swojemu zdumieniu widzę łązącą po naszym ogródku obcą babę. Drzwi domu są otwarte. Naciskam klamkę furtki, ta jednak stawia opór.

- A wy tu czego? - słyszę, dziury w mózgu zmniejszyły już mi się na tyle, aby się domyślić, że to Gienia, następczyni Natki. Czekaliśmy na nią tydzień temu.

- Dzień dobry... - postanawiam się z nią zakolegować. - Ja tu mieszkam, ale zapomniałem kluczy. Kie mieliśmy się jeszcze przyjemności poznać. - Tak właśnie mówię: „przyjemności”, dziwiąc się własnej porannej elokwencji. Wciąż dygoczę z zimna, pomimo

upału.

Podchodzi bliżej, mierząc mnie wzrokiem. Jest starsza od Nataszy i bardzo wymalowana. Gdy otwiera usta, widać złote zęby.

- Pani kazała zadzwonić, jakbyś przyszedł - burczy, zawracając w stronę domu.

Wyraźnie zamierza trzymać mnie za płotem.

- Ale proszę mnie wpuścić! - krzyczę, szarpiąc wściekle klamkę, nie odwraca się jednak.

Wspięcie się po ogrodzeniu nie wchodzi w rachubę, chyba żeby... Płot sąsiadów jest znacznie niższy, a siatka między naszymi posesjami to już zwyczajny pryszcz. Nawet jeśli sąsiadka jest w domu, może mi tylko nawymyślać. To lepsze niż sterczenie pod bramą.

Wszystko poszło gładko. Wśliznąłem się do domu jak złodziej. Kobieta - odwrócona do mnie plecami - odkładała słuchawkę, kiedy zbiegałem do piwnicy. Gorący prysznic, sauna, dygot z wolna ustawał, chociaż nogi były wciąż takie, jakby należały do kogoś innego.

Siedziałem właśnie w jacuzzi, zastanawiając się, co dalej, gdy usłyszałem matkę. Rozmawiała z gosposią. Wystarczyło ją zawołać, aby zeszła, i już miałbym to za sobą. Ale mi się nie chciało. Głosy wreszcie ucichły, zamknąłem oczy.

Obudził mnie wrzask. Gienia stała na schodach, gapiąc się na mnie jak na Czarnego Luda i krzyczała.

- Niech pani przestanie - poprosiłem, wstając. Wywołało to skutek odwrotny do zamierzonego. Rzuciła się do góry, zatraskując za sobą drzwi. Kiedy usłyszałem odgłos przekręcanego klucza, ogarnęła mnie furia. Na co ona sobie pozwala?!

Minęła mi senność, czułem się już dobrze i wściekle chciało mi się jeść. I pić. Z ulgą odkryłem zakamuflowaną pewnie przez ojca butelkę piwa.

Uwalilem się na leżance, próbując zanalizować to, co się zdarzyło od wczorajszego wieczoru. Nie pamiętałem jednak wszystkiego, a dokładniej - to, co tkwiło w moich wspomnieniach, przypominało strzępy dziwnego snu. Jeden jego fragment niepokojąco do mnie powracał, z upartą wyrazistością. To niemożliwe, abym naprawdę go ugryzł - myślałem, ale znów widziałem rękę ojca i czułem smak jego potu. Gdy drzwi się otworzyły i ujrzałem w nich matkę, nie miałem już wcale ochoty wychodzić. Nawet głód minął. Został wstyd. I strach.

HAIKU 6

*Towar,
który dostałem od Mata,
to była amfa.*

- Weź to... - Grzesiek podsunął mi małą tabletkę. Pokręciłem głową. - Jednym słowem, chcesz umoczyć, tak? - Stał nade mną, z rękoma wbitymi w kieszenie, jak zwykle. Zauważyłem, że bardzo wychudł.

- Mogę się uczyć bez prochów. Przyszedłem do ciebie, żebyś mi wytłumaczył to i owo, a nie truł - wypaliłem ostro.

Od historii z Kometą nie używałem. Sytuacja w chacie była napięta, nie przyznałem się, że zginęły mi pieniądze, o kluczach musiałem powiedzieć. Bo zginęły. Mogli nas okraść, kiedy spaliśmy nad rzeką, jednak nie opuszczała mnie myśl, że to ona mi je zabrała. Wymiana zamków kosztowała ładny szmal. Rodzice chcieli, abym się skontaktował z ośrodkiem dla uzależnionych. Matka była nawet gotowa mi towarzyszyć. Plaster na dłoni ojca był namacalnym dowodem, że nie jest ze mną najlepiej.

- Uprzedzałem cię - triumfował Mat, kiedy zbyłem byle czym jego pytanie o Kometę.

- Niepotrzebnie... - Wzruszyłem ramionami.

- Nie mów, że się myliłem, bo nie uwierzę - nalegał. Czułem, że ma ochotę na jakieś zwierzenia. Mógłbym coś wymyślić, ale szkoda mi było energii.

- Jedyne, na czym mi zależy, to żebyś oddał resztę forsy - powiedziałem z naciskiem.

Wciąż wisiał mi na trzysta złotych.

- Oddam w towarze - zaproponował po chwili.

Już chciałem go posłać na drzewo, gdy moja głowa wykonała ruch, który został uznany za zgodę. Zawsze mogę to sprzedać. Może nawet z zyskiem. Gdy ćpun jest na głodzie, zapłaci każdą cenę - uspokajałem wyrzuty sumienia. Muszę tylko to dobrze schować... Z nową siłą od sprzątanania nie układało się najlepiej, zwałłem to na nie najszcześniejsze początki naszej znajomości, chociaż nie dałbym złamanego grosza, że mogłoby być inaczej. Gienia była wścibska do bólu, traktowała nasze życie jak serial, który śledziła z rosnącym zainteresowaniem. Zadawała pytania, na które nigdy nie pozwoliłaby sobie Natasza, i uwielbiała grzebać w naszych rzeczach. Czułem, że matce też działa na nerwy, ale ponieważ gotowała dobrze, sprzątała dokładnie i wydawała się uczciwa, nie było

łatwo z niej zrezygnować.

Towar, który dostałem od Mata, to była amfa. Ulubiony pokarm Grzeška. Mogłem mu sprzedać na pniu, pieniądze były mi potrzebne, a jednak tego nie zrobiłem. Widziałem, że Grzesiek bierze coraz więcej. Zmienił się ostatnio: był nerwowy, a nawet agresywny, miewał kłopoty z koncentracją. A jednak to do niego przyszedłem po pomoc, bo wciąż był świetny.

Rozległo się pukanie i po chwili weszła matka Grzeška z talerzem kanapek.

- Dla wzmocnienia sił... - Uśmiechnęła się miło. - Jedz, bo mi znikniesz z tego pracowni... - Potargała Grześkowi włosy.

Bardzo ją lubiłem. Miała wszystko to, czego brakowało mi w mojej mamie.

- Ona się nie domyśla, że jarasz? - spytałem, kiedy wyszła.

Popukał się w czoło.

- Chybaby dostała zawału. Zarabiam korkami, a ona myśli, że wszystkim pomagam z dobrego serca. Naiwne kobiecisko... No właśnie, gdybyś też mnie wspomógł... - Wskazał znaczącym gestem pudełko po herbacie.

- Dziesięć wystarczy? - Wyjąłem banknot.

- Mógłbyś być hojniejszy... - prychnął. - Na biednego nie trafiło.

Chciałem coś rzucić o pozorach, ale wyjąłem tylko z ciężkim westchnieniem samotną piątkę.

- Więcej nie mam.

- Czyli wyjdę na tym plus minus na zero. - Prychnął śmiechem, podając mi małą tabletkę. - No, łyknij grzecznie. Za zdrowie Grzesia.

Patrzyłem w jego malutkie źrenice. Spróbuję - myślałem, co mi szkodzi. Jeden jedyny raz. No, może powtórzę przed sprawdzianem. Zdam i po zabawie.

- Co to jest? - spytałem, łykając.

- Pokrewne do UFO, pewnie słyssałeś... - Wbił już nos w książkę do matmy. - Mam dla ciebie dwie godziny, nie więcej - dodał.

Zrobiło mi się słabo. Kilka dni temu słyssałem, że ktoś się od tego przekreślił.

- Ryzyk - fizyk. - Wzruszył ramionami Grzesiek. - Wierzę, że wytrzymasz.

Dostałem kopa po jakichś piętnastu minutach. Wytrzymałem. Po dwóch godzinach Grzesiek - jak zapowiadał - wywalił mnie z domu. Spodziewał się kolejnej wizyty. Pomyślałem, że mało o nim wiem.

Coraz częściej czułem, że nie potrafię wyrazić słowami tego, co chciałem. Mojej całej niepotrzebnej nikomu miłości. Po co wam tyle obcych języków, jeśli nie umiecie porozumieć się w swoim własnym - myślałem, przyglądając się rodzicom. Pewnie to po nich odziedziczyłem tę niemożność...

Przypomniała mi się nagle Kometa i jej śpiew. A potem to wszystko, co gadał o niej Mat. Chciałem ją jeszcze zobaczyć, mimo forsy i kluczy. Odtwarzałem w pamięci jej oczy, wielkie sznurowane buciory, kwiaty we włosach i sposób, w jaki była ze mną. Poczułem, że jej mógłbym opowiedzieć różne rzeczy. Ostentacyjny brak zainteresowania z jej strony był jedynie fasadą, pozą, jaką sobie narzuciła, tego byłem prawie pewny. Może zresztą tak się zachowywała jedynie na haju. Miałem nadzieję, że miewa także inne stany świadomości. Dopiero teraz pomyślałem sobie, że mur, jaki wokół siebie wznosiła, był zbudowany ze strachu. Żeby nikt nie zranił jej bardziej od tego, który już kiedyś to zrobił. Byłem ciekaw, kto to był.

- Dlaczego nigdy nikogo nie zapraszasz do domu? - spytała mnie matka, jeszcze zanim spotkałem Kometę, a oni nas. Po tym zdarzeniu przestała o to pytać.

Chodziło jej, naturalnie, o kogoś, kogo mogliby zaakceptować, a może nawet polubić. O kogoś, kto mógłby być dla mnie wzorem i przykładem. Sam często myślałem, że to byłoby dla mnie najlepsze. Ale po śmierci Miśka nie miałem szans. Jego odejście wypisane było na moim czole jak stygmat. Ostrzegał i odstraszał. Przyciągał tylko hieny. A przynajmniej tak czułem.

Tej noc miałem znów atak zimna. Gdy tylko poszedłem do kuchni napić się herbaty, wyrosła w progu Gienia. Sterczała, w swojej długiej różowej koszuli, gapiąc się na mnie bez słowa. Wyglądała tak absurdalnie, że zachciało mi się to uwiecznić. Pobiegłem po aparat. Tkwiła w tym samym miejscu, jak przymurowana. Dopiero blask flesza wyrwał ją ze stuporu. Jej krzyki ściągnęły na dół resztę rodziny, uwieczniłem wszystkich. A potem, po powrocie do siebie, śpiące krzesło i zdjęcie starego. Przypomniałem sobie, jak płakał, i znów zapragnąłem go odnaleźć.

Piłem herbatę, patrząc za okno. W rozproszonym świetle ogrodowych lampek równy trawnik wyglądał jak makieta. Kopczyki dawno poznikały. Wraz z odejściem obrońcy kretów, trucizny i odstraszacze wykonały swoje zadanie.

Wyobraziłem sobie leżące pod trawą poskręcane ciała i trawnik za oknem przeobraził się w cmentarz. Tak widziałby to Michał, a ja coraz częściej łapałem się na tym, że próbuję patrzeć na świat podwójnie, za nas obu.

- Jesteś moim prawym okiem... - szepnąłem w ciemny kąt pokoju do segregatorów ze

zdjęciami.

Rozmawiałem z nim częściej niż z kimkolwiek innym. Czasem mi odpowiadał, ale często kulił się w kącie, jak wtedy, gdy go uderzyłem. Miałem nadzieję, że już mi wybaczył, ale nic na to nie wskazywało. Chciałbym, żeby wziął mnie za rękę, jak niegdyś bywało.

Pozornie można sobie wyobrazić wszystko, a jednak próby sterowania zachowaniem wyobrażanych osób często spełzają na niczym. Jakby nawet w tym innym wymiarze miały wolną wolę.

Z rodzicami nie zdarzało nam się wspominać Michała i wcale mi się to nie podobało. Bo to było tak, jakby on nigdy nie istniał. Jeśli nawet ktoś zaczynał o nim mówić, milkł w pół słowa. Nie wiedziałem, czy tak się między sobą umówili, czy była to kolejna sprawa, o której można tylko milczeć. Powoli to milczenie obejmowało wszystkie sfery życia: chyba nawet nie rozmawiali o tym, co mieliby ochotę zjeść. Zastanawiałem się czasem, czy rozmawiają ze sobą w łóżku i jak wygląda ich seks. Bo wciąż spali razem.

HAIKU 7

*Dziewczyna z warkoczem
ma oczy Komety,
ale jest w nich światło.*

Dłużej tego nie wytrzymam. Chodzenia dookoła siebie, jakbyśmy byli ze szkła. Zachciało mi się je potłuc. Na drobny mak. Wiedziałem, że starzy są w domu, to była rzadkość, ostatnio tak im się jakoś układało, że prawie nigdy nie spędzali wieczorów razem.

Matka czytała coś na tarasie, ojciec siedział przed telewizorem, przełączając z kanału na kanał. Obok niego na stoliku stała butelka whisky, termos z lodem i kryształowa szklanka. Gienia snuła się to tu, to ówdzie z miotełką z piór, pozorując odkurzanie obrazów, wiedziałem jednak, że kontroluje sytuację.

Czytałem gdzieś o takich treningach, na których wszyscy - sterowani umiejętnie przez terapeutę - otwierali się jak ostrygi. Zamarzyło mi się, że siadamy razem i każdy próbuje powiedzieć, co mu leży na wątrobie, nawet gdyby to się miało skończyć kosmiczną awanturą. Po burzy zawsze powietrze się oczyszcza.

Trzeba tylko spacyfikować Gienię. Jej obecność nie wchodzi w grę. Po raz pierwszy myślę o Nataszy jako o domowniku. Ta jest tu obca.

Próbuję ułożyć jakiś sensowny scenariusz, ale co chwila rozsypuje mi się jak domek z kart. Postanawiam iść na żywioł.

Po chwili siedzą już oboje w salonie, telewizor milczy, przyglądają mi się. Gienia została wysłana po zakupy.

Mam w głowie pustkę.

- Chciałbym mieć psa - mówię pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Bo nagle, rzeczywiście, tęsknię za ciepłym jęzorem na przywitanie każdego dnia.

- Psa... - powtarza matka wolno.

- Nie powinienes... - zaczyna ojciec, ale przerywa, sięga po szklaneczkę.

- Wiem, że Michał miał uczulenie... - Ledwie to powiedziałem, już zaczynam żałować.

To można zrozumieć opacznie i oczywiście, natychmiast, tak to zostaje odebrane.

Ojciec podnosi się chwiejnie z fotela.

- Jesteś wyzbyty uczuć. To jest dom żałobny i nie zapominaj o tym! - mówi coraz głośniej. Dobrze - myślę, niech mówi, niech krzyczy. - I nie zapominaj nigdy, przez kogo

został pogrążony w żałobie!

- Nie jestem wyzbyty uczuć - mówię przez ściśnięte gardło. - Kochałem Michała... - przerywam, bo dziwi mnie czas przeszły, przecież wciąż go kocham, może nawet coraz bardziej.

- Po co nas tu zgromadziłeś? - pyta matka. Odpala papierosa od papierosa, nie patrzy na mnie. - Naprawdę po to, żeby porozmawiać o psie?

- Po prostu porozmawiać... Ludzie, którzy ze sobą mieszkają, powinni mówić sobie różne rzeczy... - dukam, chociaż właściwie przed chwilą wszystko już zostało powiedziane.

O czym mieliby ze mną gadać? O swojej pogardzie? Pewnie z trudem w ogóle znoszą moją obecność.

Nienawidzą mnie. Przed chwilą ojciec mi powiedział, że to ja sprowadziłem na ten dom nieszczęście. To ja odebrałem im Michała. Tak jakby on odszedł tylko od nich, a nie również ode mnie. Mam już swoją rozmowę. I swoją prawdę. Mam, czego chciałem. Czy na pewno lepiej jest wiedzieć, czy też żyć w nieświadomością bawiąc się przypuszczeniami?

Mam ochotę rzucić im w twarz, że nigdy nie mieli dla niego czasu. Że ja znałem go znacznie lepiej od nich. Ale milczę, wbrew temu, co dopiero powiedziałem: „Ludzie, którzy ze sobą mieszkają, powinni mówić sobie różne rzeczy”.

- Chcesz, żebym się przed tobą wytłumaczyła z milczenia? - nagle słyszę głos matki. - Nic nie mówię, bo jest mi smutno. Bezgranicznie smutno. Nic mi się nie chce. O czym niby miałabym mówić? Wszystko już zostało powiedziane. Uważasz się za wrażliwego, a nie potrafisz tego zrozumieć? Zamiast zmuszać nas do mówienia, pomilcz razem z nami.

To było jak policzek. Poczułem się głupi i śmieszny.

My nawet nie umiemy razem milczeć - przemknęło mi przez głowę. Niczego razem nie umiemy robić.

Nawet porządnie się pokłócić. Bo po kłótni na ogół ludzie się godzą i wszystko wraca do normy.

Nie mogę znieść mojego pokoju. Oraz tego, który spoczywa pusty obok. Spoczywa w pokoju, przebiega mi przez głowę gra słów.

Muszę stąd wyjść. Znaleźć się w innym świecie, który nie miałby nic wspólnego z moim własnym. Przerzucam repertuar kin, mój wzrok zatrzymuje się na klasycznym filmie z lat pięćdziesiątych, złote lata Hollywood, tego mi trzeba, bajki.

Przechodzę znów przez salon, ojciec wrócił do zabawy pilotem, matka gdzieś zniknęła. Jak się okazało, razem z samochodem.

Nawet już nie jadamy razem - myślałem, zmierzając do autobusu.

Ledwie wsiadłem, od razu ją zobaczyłem. Ubrana była tak samo jak wtedy. Tylko tym razem nie była odległa i nieobecna: miała spiętą spoconą twarz, zachowywała się nerwowo. Towarzyszyła jej dziewczyna o włosach splecionych w ciasny warkocz. Kometa, którą miałem ochotę znów spotkać, powinna wyglądać inaczej. Nie tak miało być - mówi mi coś w środku, a drugie coś odpowiada - natychmiast - jej głosem: „nigdy tak nie jest”. Potem nie mogę już myśleć, Kometa staje przede mną.

- Znam cię - mówi. Jej głos nie ma nic wspólnego ze śpiewem. Jest ciemny i chrapliwy.

Widzę, że z trudem mnie kojarzy i robi mi się dziwnie. Dziewczyna z warkoczem odwraca się. Ma oczy Komety, ale jej źrenice są zdrowe i jest w nich światło.

- Ja też cię znam - odpowiadam.

- To dobrze... - Chwyta mnie za rękaw. - Miałaś mi zrobić zdjęcia... - Nagle jej pamięć zaczyna funkcjonować jak szwajcarski zegarek. - A potem mi zapłacić.

- Sama wzięłaś sobie honorarium, mimo że do sesji nie doszło. I na dodatek klucze. Próbowełaś zrobić z nich użytek? - Kątem oka widzę, że dojeżdżamy do mojego przystanku. Dostrzega moje wahanie i mówi:

- My też tu wysiadamy.

Nie przedstawia mi swojej towarzyszki, a ta podąża za nią jak cień.

- Próbowełaś - przyznaje Kometa, a ja od razu zapominam o tym, po co tu właściwie wsiadłem. I o tym, że ten film grają ostami tydzień, a za zdjęcia otrzymał niegdyś Oscara. - Daj mi działkę - słyszę z niedowierzaniem. - Na krechę, bo jestem goła.

- Coś ci się pomyliło. Nie jestem dealerem.

Może jednak lepiej pójść do kina - myślę.

Dziewczyna z warkoczem chwyta Kometę za rękę.

- Obiecałaś mi...

- Przestań, nie mogę... - Kometa wyrywa jej się, zaczynamy zwracać powszechną uwagę. - Chociaż trochę... - Wygląda tak, jakby zamierzała się udusić.

Jej towarzyszka spuszcza głowę, ledwie mogę zrozumieć, co mówi:

- Jeśli coś masz, daj jej, proszę, bo zaraz będzie miała atak.

Przypominam sobie amfę od Mata. Leży na najwyższej półce w moim pokoju, przyciśnięta opasłym posążkiem Buddy.

- Proszę - powtarza dziewczyna.

Kometa nic nie mówi, tylko poci się coraz bardziej.

- Dobrze. - Podejmuję decyzję. - Ale musimy znów wsiąść do autobusu. Tym razem w

przeciwną stronę.

Kometa trzęsie przecząco głową.

- Ona tego nie wytrzyma - mówi gorączkowo jej cień. - Nie masz tego tutaj?

- Nie - mówię. - Ja nie biorę... - słyszę, jak w moim głosie brzmi coś jak przechwałka.

- To dlaczego masz? - Dziewczyna z warkoczem uśmiecha się niewesoło.

Za dużo byłoby gadać, z Kometa jest coraz gorzej, macham na taryfę, ta forsa miała być na kino, a teraz wiozę za nią ćpunkę, która mnie okradła, i dziewczynę, którą widzę po raz pierwszy, do siebie. Nikt nie może ich zobaczyć - myślę. Najlepiej byłoby im wynieść towar przed dom.

Nie wchodzi to jednak w grę, Kometa boi się spuścić mnie z oka, jestem jej ostatnią deską ratunku, napatoczyłem się, kiedy szukała jelenia. Aż czuję kiełkujące poroże, gdy pomagam im wgramolić się przez okno. Sam przemierzyłem salon, odprowadzany przymglonym alkoholem spojrzeniem ojca. Rzuciłem coś o braku biletów, aby usprawiedliwić szybki powrót. Kiwnął głową i spytał, czy nie widziałem matki. Gdy zaprzeczyłem, stracił zainteresowanie moją osobą. Dobrze, że Gienia ma dziś wychodne...

Kiedy wszedłem do siebie, Kometa szamotała się z szufladami mojego biurka.

- Rewizja? - spytałem wściekły.

- Kiepsko z nią - bąknęła ta druga, jakbym tego nie widział.

Kometa wiła się jak w ataku wyrostka, podkoszulek przylepił się jej do ciała, włosy wisiały w strączkach.

- Nie masz brauna? - szepnęła na widok białego proszku.

- Nie mam... - Zaczynała opuszczać mnie cierpliwość.

Kometa posmarowała sobie amfą dżiąsła, a potem kazała mi się odwrócić.

- Już... - Usłyszałem po chwili głos tej drugiej.

- A ty? - spytałem.

Stałem wciąż tyłem do nich, mimo przyzwolenia nie miałem ochoty ich oglądać.

- Ja jestem siostrą...

Ta odpowiedź tak nie przystawała do sytuacji, że aż musiałem na nią spojrzeć.

- Ona jest młodsza. Dlatego się nią opiekuję... - Kometa odzyskiwała już energię.

- Ty nią? - spytałem z przekąsem.

- Jest starsza niecałe dwie godziny - odpowiedziała ta druga.

Były podobne, ale nie aż do tego stopnia. Przyglądałem im się uważnie, badając ich usta i nosy, uszy, czoła i kształt paznokci. Kometa nagle zaczęła się śmiać. Przerażony, że ojciec ją usłyszy, nastawiłem muzykę.

- Jesteśmy dwujajowe - zaśpiewała. - Albo i trzy... A ten, skąd się tu wziął? - patrzyła w róg pokoju. - To twój brat? - Cofnęła się gwałtownie, potknęła i upadła na kanapę. - On mi się nie podoba... - wymamrotała. - Idź sobie!!! - wrzasnęła.

Mróz przeszedł mi po krzyżu.

- Daj spokój... - Siostra bliźniaczka wzięła ją za rękę. - Tu nikogo nie ma. Naćpałaś się.

- Sama się naćpałaś! - krzyknęła Kometa.

- Zabierz ją... - jęknąłem do tej z warkoczem.

- Być albo nie być, oto jest pytanie... - zaczęła deklamować Kometa, mierząc we mnie palcem. - Powiedz mu, niech on stąd sobie pójdzie, bo inaczej zacznę krzyczeć... - zagroziła. - Boję się go! - W jej głosie zawibrowała histeria.

- Ja też... - szepnąłem. - Najlepiej, jak stąd uciekniemy, póki jeszcze mamy szansę. On jest niebezpieczny...

- Ma broń? - Kometa przyłgnęła do mnie. Cała się trzęsła.

- Nie ma... - próbowała ją uspokoić bliźniaczka, posyłając mi wściekle spojrzenia.

- Lepiej tego nie sprawdzać... - rzuciłem, popychając Kometę do okna. - Za tamtym płotem - pokazywałem ogrodzenie - będziemy bezpieczni. Musimy tylko szybko się stąd wydostać. Im szybciej, tym lepiej, rozumiesz? - Kiwała głową, nie przestając dygotać. - Potrafisz szybko biegać?

- Tak - odpowiedziała, siadając na parapecie.

Rzuciliśmy się w ślad za nią. Ledwie otworzyłem furtkę, wybiegła pędem i zniknęła za rogiem ulicy.

Jej siostra zawahała się przez chwilę, a potem popatrzyła na mnie przeciągle.

- Wracasz, czy gdzieś pójdziemy?

- Gdzie? - Czułem się zmęczony.

- Gdziekolwiek.

Wizja powrotu do domu wypełnionego nieobecnością ojca, natrętną Gienią i znaczącą nieobecnością matki nie była kusząca.

- Chodźmy. - Wyciągnąłem do niej rękę. - Jacek.

- Dorota.

„Gdziekolwiek” okazało się niewielkim barkiem z drewnianymi stołami pod gołym niebem. Poprosiła o herbatę.

- Wyraźnie jesteście dwujajowe... - Uśmiechnąłem się pod nosem. Trudno byłoby mi sobie wyobrazić podobne zamówienie w ustach Komety.

- Wyraźnie - przytaknęła bez uśmiechu. - Jestem pewna - zaczęła po chwili - że Ala nie zabrała ci tych kluczy po to, żeby was obrabować z rodzinnych klejnotów, jak zapewne sądzisz.

Ach, więc tak masz na imię, Kometo... Jak z elementarza. Nic się nie odzywałem, czekając, co będzie dalej.

- Ona ma dużo różnych kluczy. Całe pudło.

- Kleptomania czy kolekcjonerstwo? - Nie wytrzymałem.

Pokręciła głową.

- Pewnie to jej daje jakieś poczucie bezpieczeństwa. Że ma gdzie uciec. Że ma dużo różnych kryjówek. Ale jestem pewna, że nie pamięta, które klucze są do jakich drzwi - mówiła wolno, z namysłem.

- Skąd uciec? Przed kim? Chyba przed samą sobą... - Sięgnąłem po kufel z piwem.

- O to chyba najtrudniej - powiedziała. - Ale niektórzy próbują.

- Gdybyś słyszała o kimś, komu się to udało, daj znać - poprosiłem.

Skinęła głową, a potem spojrzała mi prosto w oczy.

- Spałeś z nią?

- Ja o to spytaj - odparowałem.

- Jeśli tak, zrób sobie testy na nosicielstwo.

Byłem wtedy zabezpieczony, jednak i tak ryzyko jest ogromne. Kufel wysunął mi się z rąk. Gapiałem się bez słowa, jak po drewnianym blacie rozlewa się pienisty płyn.

HAIKU 8

*Pudło
kluczy
donikąd.*

Testy dały wynik ujemny. Jeszcze raz mi się udało, ile razy jeszcze? Ryzyk - fizyk, ryzyk - fizyk. Rosyjska ruletka.

Jeśli nie ma w życiu przypadków, po coś los postawił na mojej drodze Kometę. Czy tylko jako ostrzeżenie? Myślę o jej kolekcji kluczy, wśród nich leżą moje. Już nie pasują do żadnych drzwi. Pewnie podobnie zrobili inni, którzy zauważyli stratę. Pudło kluczy donikąd.

Chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o bliźniaczkach. Dlaczego są takie różne. I jakie właściwie są. Obydwie razem i każda z osobna.

Robię, co mogę, żeby nie myśleć o własnym życiu, pewnie dlatego tak bardzo interesuje mnie cudze. Nie mam ochoty na spotkania ze znajomymi. Za dużo wiedzą. Za dużo i za mało. A te dwie są nowe. Mogę być przed nimi królem albo katem. Marysią sierotką albo królewiczem zaklętym w ropuchę.

Więc znów siedzę z Dorotą w tym samym pubie, dała się zaprosić. Dzisiaj ma rozpuszczone włosy, sam nie wiem, w którym wydaniu podoba mi się bardziej. Też możesz stać się dla mnie, kim zechcesz - myślę o słowach i tym, co ze sobą niosą.

- Opowiedz mi coś o was... - proszę.

- O nas? - Podnosi brwi. - To będą dwie różne historie...

- Domyślam się.

- Chyba się nie domyślasz. - Głos Doroty brzmi ostro. - Może zacznę od niej... - Waha się przez chwilę, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. Początek jest taki, że znów trochę piwa wylewam, tym razem na spodnie. - Ojciec zaczął z nią sypiać, kiedy skończyła dwanaście lat. Mówił, że jest kobietą jego życia. Kupował jej ładne ciuchy, kosmetyki. Ona chyba na początku była nawet z tego dumna. Że woli ją od mamy. I że to ją wybrał, a nie mnie... Do kiedy ze mną też nie spróbował. Chciał mieć nas wszystkie, rozumiesz? Może w poprzednim wcieleniu miał harem. W którym były również małe dziewczynki. - Bawiła się pustą już w tej chwili szklanką po soku.

- Czyli... ty też? - Odsunąłem się bezwiednie, chociaż w głębi duszy miałem ochotę ją objąć.

- Mało go nie zabiłam, kiedy po raz pierwszy... no wiesz... Przestraszył się, naprawdę się mnie przestraszył. I do niczego nie doszło. Ani wtedy, ani nigdy. Tylko że zaczął się mścić. Chyba dopiero wówczas do Ali dotarło, co się dzieje. I że to nie jest normalne, żeby ojciec kochał córkę w ten właśnie sposób. Bo on wciąż jej powtarza, jak strasznie ją kocha. Mówi, że jeśli go opuści, on wyprowadzi się z domu i wtedy wszystkie umrzemy z głodu. Tłumaczyłam jej milion razy, żeby z tym skończyła. Ale jest za słaba. Zaczęła ćpać rok temu. A teraz już nie może bez tego żyć. Dwa razy lądowała w ośrodku, ale zawsze stamtąd uciekała. Kiedy nie ma skąd zdobyć forsy, kradnie albo zarabia ciałem. Zresztą zawsze robi to przymulona. Pewnie dlatego może to znieść. Powtarza, że jej jedyną i prawdziwą miłością jest hera.

Głos Doroty stracił na ostrości, nie zdradzał żadnych emocji, jakby mówiła o zakupach w supermarkecie lub czymś równie obojętnym.

- Robiłem testy... Nie jestem... Nie zaraziłem się od niej... - dukam, chociaż mnie o to nie pyta.

Nagle w opowieści Doroty brakuje mi jednego kawałka puzzli. Matka... Czegoś tu nie pojmuję. Jakby wszystko inne, co usłyszałem, można było ogarnąć rozumem. Więc pytam, płacząc się i jękając, jest bystra, więc przerywa mi w pewnej chwili.

- Ona udaje, że niczego nie widzi. Inaczej musiałaby zareagować, a na to jej nie stać. Tak jest wygodniej, rozumiesz?

- Nie... - Kręcę głową.

Nie rozumiem i nie zamierzam. Wydaje mi się, że gdybym zaczął podejmować jakieś wysiłki w tym kierunku, gdzieś dałbym na to przyzwolenie. Że coś takiego może w ogóle się zdarzyć. Że można na ten temat ot, tak sobie, gawędzić przy piwie lub herbacie. A o tym powinno się wrzeszczeć, używając w dodatku wzmacniaczy. Że to się dzieje. W majestacie milczenia.

- A ty? - pytam. - Próbowałaś coś z tym zrobić?

- Kiedyś uciekłam. Ale to było beznadziejne. Muszę wytrzymać jeszcze rok. Potem nigdy mnie już nie zobaczą. - Podnoszę brwi, więc dodaje: - Będę studiować w Hiszpanii. To wystarczająco daleko.

- Masz tam rodzinę? - pytam zdumiony.

- Nie mów mi o rodzinie, bardzo proszę... - Owija się bluzą, jakby zrobiło jej się nagle chłodno. - Mam dwa egzaminy państwowe z języków. Wygrane dwie olimpiady. Mam duże szanse na stypendium pewnej fundacji, z którą nawiązałam kontakt.

Patrzę na nią teraz jak na egzotycznego owada. Bliźniaczki. Dwujajowe. Miłością

jednej jest hera, a drugiej? Po chwili wahania zadaję jej to pytanie.

- Postanowiłam kochać siebie. Dobrze się traktować. I myśleć tylko o sobie. Nikt inny za mnie tego nie zrobi.

Myśleć tylko o sobie, brzmi mi w uszach, kiedy już leżę w łóżku. Spisała Kometę na straty. A może Ala sama się spisała? Nie mogę spać. Boję się. Powinno się gdzieś złożyć doniesienie o tych rodzicach. Bo matka jest równie winna. „Powinno się”. Dorota powiedziała, że opisze to wszystko i wyśle, gdzie trzeba, gdy już będzie daleko. Gdzie wtedy będzie Kometka, nie mam wątpliwości. Jeśli ktoś jej nie pomoże. Jeśli ona da sobie pomóc.

Jestem ciekawy, komu jeszcze Dorota opowiedziała tę historię. I kto jeszcze, jak ja, współuczestniczy w zмовie milczenia.

Zastanawiam się, czym sobie zaskarbiłem jej zaufanie. Szczerłość na pograniczu ekshibicjonizmu. Bo ledwie się znamy.

A może ja jej się podobam - przemyka mi przez głowę i idę do lustra. Próbuję odszukać w swojej twarzy coś do podobania i nie udaje mi się. Wgapiam się jednak uparcie, chciałbym polubić swoje odbicie, jak Dorota polubiła siebie, ale to będzie wymagało długiej pracy.

Dzwonię tam bez jakiegoś konkretnego powodu. Słyszę męski głos.

- Ty skurwielu... - To jedyne, na co mnie stać przed odłożeniem słuchawki.

Trudno, żebym teraz zadzwonił tam ponownie i poprosił którąś z nich do telefonu, bo pozna mnie po głosie. Jestem kretynem - myślę smętnie.

Może by porozmawiać o tym z rodzicami, zastanawiam się i czepiam się tej myśli jak pijany płotu. Przecież oni powinni wiedzieć, co się robi w takiej sytuacji. Kogo się zawiadamia. Uświadamiam sobie, że nie znam nazwiska dziewczyn ani ich adresu. Tylko ten telefon. To jednak powinno wystarczyć.

Mimo braku bliższych informacji dotyczących bliźniaczek zdecydowałem się na rozmowę z matką. Ojciec poleciał do Frankfurtu.

Próbuję mówić o Komecie jak o kimś, kogo nie znam, jakbym mówił o przypadku z gazety, matka jednak jest czujna. Po paru dodatkowych pytaniach sięga po papierosa, widzę, że jej ręka drży.

- Czy ty naprawdę nie możesz obracać się w normalnym środowisku? Co z tobą jest, że pociągają cię brudy, wynaturzenia i męty?

Słucham, nie wierząc własnym uszom.

- Jakbyś w ogóle nie dostrzegał innego świata. Grzęzniesz w bagnie. Myślałam, że już z tego wyszedłeś. Po tym, co się stało, powinieneś trochę pomyśleć jeśli już nie o nas, to o

sobie.

Gdzieś niedawno słyszałem coś podobnego. Pod powiekami miga mi czarny warkocz.

- Powiedziałem ci, że tę dziewczynę posuwa jej własny ojciec, a ty...

- Nie wyrażaj się, proszę... - mówi stanowczo.

- Rodzaj czynu dopuszcza określone słownictwo. Jak byś, do cholery, chciała, abym to nazywał?! - unoszę się coraz bardziej.

Natychmiast pojawia się Gienia z konewką do podlewania kwiatów. Jest aż zaróżowiona z emocji. Nareszcie coś się dzieje.

- Może zrobiłaby pani to kiedy indziej... - warczę.

- Proszę nas zostawić samych - popiera mnie matka.

Gienia jest wściekła. Ostentacyjnie głośno zamyka drzwi. Mierzymy się z matką wzrokiem.

- Nie myśl sobie, że jej nie współczuję - mówi wreszcie. - Ale każdy ma swoje piekło. Nie mieszaj się do tego. Ta dziewczyna jest narkomanką. Nie życzę sobie, byś się z nią kontaktował. Zabraniam ci, rozumiesz?! - Teraz to ona krzyczy.

Nie poznaję mojej zrównoważonej eleganckiej matki. Boże, jak dobrze, że nie wspomniałem jej o sposobie zarobkowania Komety. Ani o tym, że jest chora. Zważywszy na to, że nie puściłem na ten temat farby, reakcja matki wydaje mi się niesprawiedliwa, przesadna i nieuzasadniona.

- A więc uważasz, że należy ją spisać na straty, tę dziewczynę, tak? - Staram się panować nad głosem.

- Uważam, że to nie twoja sprawa.

- A czyja?

- Mam nadzieję, że nie jesteś w niej zakochany? - Odpala jednego od drugiego. Nie jest już w stanie przeprowadzić żadnej rozmowy, nie wspomagając się dymkiem.

- Nie. - To nie o to chodzi - myślę i czuję rosnące zniechęcenie. - Myślę po prostu, że czasem można komuś pomóc. Kto tego bardzo potrzebuje.

- W takim razie skup się na najbliższych - mówi matka. - I pomóż mnie.

Nie wiem, co odpowiedzieć i jak się zachować. Wzdycha ciężko, poprawia włosy dłonią wolną od papierosa.

- Mam zamiar na dobrego psychologa. Uważam, że powinieneś go odwiedzić.

- Ja? - Gram na zwłokę, nie jestem pewien, czy do psychologa mógłbym się przytulić, a tego chyba brakuje mi najbardziej.

- Ty. - W głosie matki brzmi zniecierpliwienie. - Zastanów się nad tym. Jestem

gotowa za to płacić, docień to.

Doceniam, ale nie umiem wykrzesać z siebie entuzjazmu. Myślałem raczej o psychologach dla rodziców Komety.

Widzę, że matka zaczyna szykować się do wyjścia. Z wolna w jej garderobie obok czerni zaczęła pojawiać się szarość.

- Nie baw się w Jezusa, bardzo cię proszę. Nie możesz zbawić całego świata - słyszę, zupełnie jakbym miał takie ambicje.

HAIKU 9

Pstryk. Pstryk.

*Jaki piękny świat -
chrypiał Armstrong.*

Niedzielne popołudnie. Czytam historię filmu. Leżę w półcieniu, dzień jest wściekle upalny.

- Może przejechałbyś się ze mną do ciotki Ewy? - Nade mną staje matka. - Dawno nie widziałeś Justyny. To twoja kuzynka, szkoda, że nie utrzymujecie kontaktów - mówi do mnie jak do małego dziecka.

Nie wiem, kiedy ostatnio razem gdzieś wychodziliśmy. Kiwam bez przekonania głową.

Jedziemy w milczeniu, jeśli nie liczyć dwóch telefonów do matki na tematy zawodowe. Z podziwem słucham, jak rozmawia, rozluźniona, rzeczowa, ton jej głosu ani sposób mówienia w najmniejszym stopniu nie przypomina tego, do którego ostatnio przywykłem. Jakby grała dwie różne role. Wjeżdżamy w blokowisko pełne bliźniaczych szarych brył. Klatka schodowa jest brudna, winda pomazana i upstrzona gumami do żucia. Inny świat. Kiedyś, jako dziecko, też mieszkałem w bloku, ale tamten nie był aż taki paskudny, a może po prostu ja widziałem go inaczej?

Jestem tu nieoczekiwanym gościem. Czuję to od razu. Nawet jeśli ciotka sugerowała, abyśmy wpadli obydwoje, nie sądziła, że skorzystam z propozycji. Justyny nie ma - ciotka obiecuje, że na pewno zaraz przyjdzie, zupełnie jakbym nie mógł się jej doczekać. Sama chętnie pogadałaby z matką, ale psuję im szyki. A więc rozmowa kuleje, kawa, herbata, ciasto, trzeba czymś się zająć... Wraca Justyna, obcinam ją uważnie, prezentuje się całkiem nieźle, w przeciwieństwie do niewysokiego blondyna o wyglądzie inkasenta za gaz, który sterczy obok niej.

Sytuacja jest dość niezręczna, idę za nimi do pokoju, chyba jako przyzwoitka.

- Opowiadałam ci o Jacku... - mówi do Konrada, bo tak ma na imię wybranek. - To syn siostry mojej mamy...

Konrad wybałusza gały, no tak, nietrudno się domyślić, co mu o mnie mówiła. Jest mi to obojętne, chciałbym tylko stąd wyjść i zastanawiam się, jak to zrobić. Wymieniamy jeszcze uwagi na temat świadectw i wakacji, temat jest w miarę bezpieczny, bo cudem udało mi się

zdać. Jeszcze sam w to nie wierzę.

Chwałę się, że przeszedłem do następnej klasy, Justyna mówi to samo, inkasent milczy. Wybierają się razem nad Morze Czarne. Mnie rodzice załatwili obóz językowy w Anglii, na kolejne dwa tygodnie chciałem się załapać na rowerowy, po Kujawach.

- Nie, jadę sam. Nikogo tam nie znam. Nie, to mi nie przeszkadza - odpowiadam na grzecznościowe pytania, tematy się chyba wyczerpują, nie, to nie tak, czuję, że wolą być sami. Więc wołam w udanej panice: - O rany! Zostawiłem włączone żelazko! Muszę lecieć...

Dodaję, że było miło i żeby wytłumaczyli mnie przed mamą i ciotką - preferuję znikanie po angielsku, żeby nie czynić zbędnego zamieszania.

Siostry są tak pogrążone w rozmowie, że nawet nie zauważają mojego wyjścia.

Wracam do domu tylko po to, żeby wziąć rower. I aparat. Widzę, że film mi się skończył, na szczęście mam zapas. Po drodze proszę o wywołanie i zamawiam odbitki. Tym razem moment oglądania zdjęć będzie dla mnie wielką niespodzianką. Zupełnie nie pamiętam, co na nim jest.

Zapuszczam się w rejony targowiska. Tu można spotkać najciekawsze typy. Życie na gorąco. Na tle niecenzuralnego gryzmołu przeciwko Unii klęczy Rumunka. Obok niej lize lizaka brudny chłopczyk. Pstryk, pstryk. Elegancka starsza pani z trzema groźnymi brytanami na smyczy. Pstryk. Wystawa z pozbawionymi głów manekinami, bez ubrań. Pstryk. Stary człowiek w wełnianej czapce... Hamuję gwałtownie, serce bije mi mocno, nie wiem, co mu powiem, nie wiem, czy zechce ze mną pogadać i właściwie o czym, ale muszę spróbować. Rower teraz tylko mi zawadza, ale boję się go zostawić na wieczne nie odnalezienie.

- Przepraszam, czy zechciałby pan ze mną porozmawiać? - Idę obok niego.

Staje, przygląda mi się, a ja jemu. Ten sam, nie mam już co do tego żadnych wątpliwości.

- Długo pana szukałem... - Dopiero kiedy powiedziałem to głośno, poczułem, że tak jest w istocie.

- A nie mylisz mnie z kim? - spytał.

- Nie. - Potrząsnąłem głową. - Bardzo się panu spieszy?

Uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami.

- To zależy... - mruknął.

- Pozwoliłby się pan zaprosić na piwo? - Przypomniałem sobie bar, w którym siedziałem z Dorotą. Był blisko stąd.

- Na dwa - odpowiedział.

Z trudem udało nam się znaleźć wolny kąt.

- Był pan rybakiem? - spytałem.

- Mówiłem, że mnie z kimś mylisz... - Mężczyzna chwycił kufel, jakby w obawie, że będę mu go chciał odebrać.

- Nie myślę - powtórzyłem. - Tylko że to wszystko jest trudno wytłumaczyć.

Nie odezwał się. Czekał. Opowiedziałem mu, jak Misiek wybrał go sobie na dziadka. I że potem jeszcze jedna dziewczyna też się do niego przyznała.

- A po coś ty mi to zdjęcie zrobił? - Spojrzał mi w oczy. - I w dodatku na ścianie powiesił?

No tak, najpierw ja go sobie wybrałem, dopiero później oni...

- Robię dużo zdjęć... - powiedziałem wolno. - I dorabiam do nich historie.

Pomyślałem sobie, że kolor rozmydła mi teraz wyrazistość jego rysów. Przyzwyczałem się do wersji czarno - białej.

- Opowiesz mi swoją?

- Jest pan rybakiem i ciągle pływa. Musiałem jakoś wytłumaczyć pańską nieobecność w naszym życiu. Michał się dziwił, że nigdy go pan nie odwiedza.

- Ach, tak... - mruknął mężczyzna, sięgając po drugie piwo. - To może mu powiedz, że mam teraz urlop. Przyrowadź go tu. Albo do parku, bo ja wiem...

- Lepiej do parku... - wydusiłem przez ściśnięte gardło, podnosząc się wolno. - Przepraszam, ale muszę już lecieć. Proszę sobie spokojnie dopić to piwo... A jeśli chciałby pan jeszcze coś zamówić... - Sięgnąłem do kieszeni.

Potrząsnął głową.

*

Gapię się na porozrzucane zdjęcia. Okruchy bezpowrotnie minionej przeszłości. Chciałbym, aby czas mógł się zwinąć jak czarodziejski dywan. Idąc po nim, mijani nieruchome krzesło, ojca w pizamie i Gienię w nylonowej koszuli, pamiętam, że była różowa. Mój świat jest czarno - biały, czasem się zastanawiam, czy tak go nie widzę. Są jeszcze odcienie szarości, bogata paleta rozświetlonych cieni i zamazanych konturów.

Ręka mi drży, gdy podnoszę niewielki kartonik i tamten dzień znów staje mi przed oczami, jakby to było wczoraj. „Chciałbym mieć taką szyję” - słyszę głos Michałka, wpatruję się w roześmianą buzię. Za nim stoi żyrafa, jej wzrok sięga daleko, pewnie on też tak chciał. Przypomina mi się jego luneta z kartonowej rury i to, że chciał zostać astronomem. Wszystko to zaczyna mieć jakiś pokrętny związek.

Patrzę na aparat z niechęcią, wpycham go byle gdzie. Nie chcę cię więcej - szepczę -

mam dość galerii cieni. Pstrykanie zdjęć wydaje mi się nagle czymś odstręczającym. Po co uwieczniać coś, co za chwilę zginie? Istnieje tylko Tu i Teraz, wszystko, co było, jest śmiercią.

Obracam w palcach zdjęcie Michała. Wolno wkładam je do portfela, bardzo głęboko, jak starannie skrywaną tajemnicę.

*

Bywają takie dni i noce, które zmieniają wszystko. Bywają takie rozmowy, własne lub zasłyszane, które są w stanie wywrócić do góry nogami cały nasz świat. Nie możemy ich przewidzieć. Nie możemy się na nie przygotować. Czyhają gdzieś na nas, zapisane w łańcuchu pozornych przypadków, nieuchronne jak świt po ciemności.

Ojca przywiozła z pracy taryfa. Widząc Gienię przed telewizorem w salonie, zgarnął z barku jakąś butelkę i powlókł się chwiejnym krokiem w kierunku sypialni. Patrzyłem z dołu, jak walczy ze schodami. A potem w odgłosy teleturnieju wmieszał się saksofon. Ojciec od jakiegoś czasu odgradzał się od świata dźwiękami we wszystkich pomieszczeniach - nawet w łazience. Gienia skrzywiła się z niezadowoleniem, naciskając guziczek pilota. Głos spikera zabrzmiał pełną mocą.

- Może by pani zajęła się prasowaniem? - wyrosłem na linii jej wzroku. Widziałem koło pralki pełny kosz wymiętych rzeczy.

- Nie będziesz mi wydawał poleceń - burknęła.

- Myli się pani... - poczułem nabrzmiewającą furję. - A teraz proszę wyłączyć ten telewizor. Przeszkadza ojcu. I mnie też - dodałem.

- Jemu? - Skierowała palec w górę i pokazała w uśmiechu wszystkie złote zęby. - Jemu tam nic nie przeszkodzi...

Wzięłem pilota, wyłączyłem telewizor i bez słowa poszedłem z nim do mojego pokoju. Czułem wbity w plecy jej pełen nienawiści wzrok.

Muszę pogadać z matką - myślałem w kółko. To nie do wytrzymania. Wolę sam sprzątać... Nagle ta myśl wydała mi się całkiem niezła. Niech płacą mi tyle co Gieni. No, mogą trochę mniej, bo nie umiem gotować. Ale teraz i tak w domu jadłem głównie ja.

Serfując po Internecie, nasłuchiwałem powrotu Grażyny. Ledwie weszła do domu, zrozumiałem, że nie jest w nastroju do rozmowy na temat gosposi.

- Nie ma jeszcze ojca? - spytała.

Odpowiedziała jej muzyka. „Jaki piękny świat” - chrypiał Armstrong. Matka bez słowa skierowała się ku schodom. Kiedy zniknęła w sypialni, odczekałem z pięć minut, a po-

tem ruszyłem w górę. Czułem się jak Gienia, z uchem nieomal przylepionym do zamkniętych drzwi. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Może świadomość, że jest inaczej niż zwykle. Może ciekawość. Może intuicja.

- Kto do ciebie dzwonił? - dociera do mnie głos ojca.

- To nieważne!

Muzyka urywa się w pół nuty, dobrze jest, będę lepiej słyszeć.

- Dlaczego wyłączyłaś? - Ojciec bez muzycznego podkładu brzmi jakoś nieporadnie.

- Bo chcę z tobą porozmawiać. A to mi przeszkadza. Nie prowadź tylko w pracy śledztwa kto, bardzo cię proszę. To był ktoś ci życzliwy. Ktoś, kto nie chce, byś wylądował na bruku. Bo jesteś na najlepszej drodze. Tolerują cię tylko dlatego, że jesteś dobrym fachowcem. Ale zaczynasz być kompromitujący, a na twoim stanowisku to niedopuszczalne. Jest już publiczną tajemnicą, że trzymasz w biurku butelkę.

- I co w tym strasznego? - Kamil próbuje się stawiać, ale Grażyna nie dopuszcza go do głosu.

- Powinieneś iść na terapię. Jeśli z tym nie skończysz, znajdziesz się nie tylko bez pracy, ale również bez domu... - Zalega chwila ciszy. Matka mówi teraz z wyraźnym wysiłkiem, staram się wtopić w niewidzialne słoje drewnianych drzwi. - Bo ja też mam tego dosyć. Nie mogę dłużej słuchać twojego bełkotu, patrzeć na zamglone oczka, nie mogę znieść twojego zapachu, kiedy się obok mnie kładziesz, nie mogę udawać, że mamy wciąż dobry seks, bo jest coraz gorzej! Jeśli nic z tym nie zrobisz, wniosę sprawę o rozwód. Daję ci dwa tygodnie na podjęcie leczenia.

- Ależ ty, Grażynko, jesteś dziś dla mnie niemiła... - Ojciec próbuje być rozkoszny, ale wyraźnie nie wyczuł chwili.

- Zostaw mnie! - Matka zaczyna krzyczeć. - Wszystko rozwaliłeś! To przez ciebie nasz syn jest narkomanem. Spójrz tylko na niego! Czy ty chociaż wiesz, w jakim środowisku on się obraca?! Jakimi dziewczynami się interesuje?! Stacza się tak samo jak ty! A ja nie mam w tobie żadnego oparcia. Kiedy zabrałam go ze sobą do Ewy, uciekł po półgodzinie. On już nie umie znaleźć wspólnego języka z normalnymi ludźmi. Kwalifikuje się do specjalisty. Mówiłam mu to, ale nie zareagował. Nie wiem, za co mnie los tak pokarał. Michał nie żyje, a ja tkwię pod jednym dachem z dwoma degeneratami i wiedźmą, która zamiast sprzątać, wtyka wszędzie swój wścibski nos...

Nie słucham dalej. Nie mogę. Jestem degeneratem. Podobnie jak mój ojciec. Krew z krwi. Kość z kości. Mijam złotozębą wiedźmę, odprowadza mnie wzrokiem, słyszę, jak mruczy:

- Niepotrzebnie twoja matka się wścieka. Co to by był za chłop, jakby się czasem nie napił?

Udaję, że nie słyszę. Kładę się na tapczanie, ale w każdej pozycji wszystko mnie boli. Nie mogę również stać ani siedzieć. Boli mnie głowa, ręce i nogi. Mięśnie, kości, paznokcie, włosy, zęby i serce. A najbardziej dusza.

- Kometa? - szepczę, gdy ją słyszę po drugiej stronie słuchawki. - Pomożesz mi?

- Pomogę...

HAIKU 10

*Guz usypia,
a ja razem z nim.
Budzi mnie deszcz.*

Tego mi było trzeba, teraz już o tym wiem - myślę, leżąc nad Wisłą. To te same krzaki, co wtedy, tylko noc jest cieplejsza. Kometa chce się ze mną kochać, ale odsuwam ją stanowczo.

- Jesteś moją siostrą, rozumiesz?

- Nie... - Kręci głową.

- Nie szkodzi. I tak jesteś. A z bratem się tego nie robi.

- Przecież już to robiliśmy.

- To był błąd.

Patrzy na mnie uważnie, a potem spuszcza wzrok, gapi się w swoje sznurowane buciory.

- To przez Dorotę, tak? Teraz ona ci się podoba...

- Wiem, że jesteś chora...

Zrywa się nagle i kopie ze złością duży szary kamień.

- Chora? Myślisz, że mam jakiegoś syfa? Kto ci naopowiadał takich głupot? Pewnie moja siostra, co? Co ci jeszcze o mnie mówiła?

Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. Nie wiem, której wierzyć.

- Posłuchaj... - mówię ostrożnie. - Wielu narkomanów ma HIV - a.

- Ale nie ja. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Więc tym bardziej ona nie może mieć o tym pojęcia.

- Czyli... nie badałaś się, tak? - pytam ostrożnie. Skoro była w ośrodku, musieli robić jej testy - myślę. O ile była... Nagle wszystkie informacje stają pod znakiem zapytania.

- Po co? - Wzrusza ramionami. - I tak umrę.

- Wszyscy kiedyś umrzemy. Tylko jedni wcześniej, drudzy później. Chodzi o to, żeby to odwlec. Jak najdalej...

Woda chlupocze cichutko, próbuję sobie wyobrazić, że jestem teraz na Mazurach. Byliśmy tam kiedyś, całą rodziną. Całą rodziną - myślę, słowo „rodzina” odbija się pustym echem, co z niej zostało? Przed oczami staje mi Misiak w kapoku, pływaliśmy wtedy razem

łódką... Nagle czuję się strasznie stary, strasznie zmęczony i strasznie smutny. Zaczynam płakać.

Kometa nic nie mówi, ale jej obecność mi nie przeszkadza, a to już wiele.

- Chcesz jeszcze jedną działkę? - szepcze, a ja chcę, chcę dużo działek, bo przecież jestem narkomanem, degeneratem, a tacy ćpają.

Rozwija paczuszkę, a potem wysypuje brązowy proszek na szklaną płytkę. Przytrzymuję jej rękę.

- To był błąd, że się wtedy przespaliśmy ze sobą - powtarzam. - Bracia nie śpią z siostrami.

- Już to mówiłeś. Czub z ciebie. - Jest zniecierpliwiona, dłonie jej drżą, kiedy dzieli brauna.

- Podobnie jak córki z ojcami... - mówię. Odpycha mnie, wściekła. Drogocenna hera miesza się z trawą, klęczy nad nią, próbując uratować coś, czego się nie da.

Ciekawe, jak ta trawa teraz się czuje - myślę o jej tajemniczym zielonym życiu.

- Co ty pieprzysz?! - Dziewczyna wybucha płaczem. Nie wiem, czy rozpacza nad rozsypanym proszkiem, czy własnym życiem.

- Nie musisz tego więcej robić. To był błąd. Tak jak ze mną. Po prostu z tym skończ.

- Przestań! - Kometa zatyka uszy. - Zabiję tę idiotkę! - wrzeszczy, tupiąc ze złości. - Naopowiadała ci bzdur, bo jest zazdrosna! Bo ojciec mnie bardziej kocha! I mam większe powodzenie u chłopaków. Dlatego każdego chce wystraszyć. Ciebie już wystraszyła. Po coś do mnie dzwonił, co?! Tylko dlatego, że chciałeś się naćpać?!

Nie mogę przytaknąć, boby mnie już niczym nie poczęstowała. Zastanawiam się, czy ma jeszcze jakiś zapas. Zauważyłem, że jest szczodra. Dzieli się ze mną, nie mówiąc o forsie. Musiała dużo zarobić, krzywię się na samą myśl, ale tę informację mam również od Doroty... Czuję się kompletnie skołowany. Teraz mam ochotę odpłynąć jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

- Gdyby to jednak była prawda... - zaczynam ostrożnie - powinnaś wynieść się z domu. - Moje spojrzenie zatrzymuje się na jej pokłutych przegubach. A więc nie tylko wacha... - Teraz jest lato, więc jest łatwiej. Na pewno można znaleźć coś pustego. Trzeba tylko poszukać.

- Sam sobie szukaj! Naiwniak z ciebie - mówi z pogardą.

Łzy już jej obeschły. Z kieszeni wyjmuje kolejną paczuszkę, jest w tym coś dziwnego, że ma aż tyle towaru...

- Można ci wcisnąć każdy kit. - Jej zacięta twarz przypomina trochę małpi pyszczek o

pięknych oczach.

Pewnie można - myślę. Spróbuj, Kometo, wcisnąć swój... Wracam do sprawy kluczy. Chciała z nich zrobić użytek. Ciekaw jestem po co.

- Tęskniłam za tobą... - Przewraca oczami.

Wtyka sobie do nosa rurkę, przykuca. Potem będzie moja kolej - myślę, czekając na ciepło, które za chwilę ogarnie mnie bez reszty. Widzę, jak odpływa, zaraz do niej dołączę. Trawa jest wysoka jak stuletni bór. Przemykam między jej łodygami niczym boża krówka. Bezpieczny i spokojny... Napęczniały czymś miłym i dobrym. Już nie czuję nóg ani rąk, wznoszę się jak balon ponad korony traw. Jak taki ciężki balon może latać - myślę i nagle odkrywam przyczynę: to dlatego, że jestem czerwony! Odkrycie bawi mnie do tego stopnia, że krztuszę się ze śmiechu. Kometa mi wtóruje, ale jej śmiech mnie drażni, ona nie jest czerwonym balonem, a tylko czerwone balony mają prawo do zabawy. Więc próbuję ją uciszyć, ale ona się nie daje, więc jeszcze bardziej próbuję, zaczyna piszczeć, to jest gorsze niż śmiech, coś spadło mi na głowę, pewnie jedna z traw, dla bożej krówki to może być groźne, ale przecież ja jestem... ja jestem...

A naprzeciwko mnie stoją one. Każda trzyma w ręku kij. Przecież Dorota nie była do niej podobna, a teraz jest identyczna... Po chwili zlewają się w jedną Kometę, która oddala się coraz bardziej, zaraz zgaśnie... Ich uderzenia bywają niebezpieczne, gdzieś to czytałem... Obmacuję głowę, musiała się z nią zderzyć, bo wyczuwam guza, ale guz usypia, a ja razem z nim.

Budzi mnie deszcz. Jestem sam. Jest mi okropnie zimno. Żołądek mi wariuje, łeb pęka. Mam uczucie, że ktoś mi powbijał w podeszwy stóp kołki, bo każdy krok to tortura. Sprawdzam kieszenie, ale są puste, nie pamiętam zresztą, czy przedtem było inaczej. Muszę jakoś dostać się do chałupy. Gdy docieram do najbliższego przystanku, jestem zupełnie mokry. Nie tylko od deszczu.

Współpasażerowie starają się omijać mnie wzrokiem, dzięki czemu moja obecność staje się szczególnie widoczna. Zresztą i tak by była. Modlę się, żeby nie wkroczył kanar, tym razem moje modły zostają wysłuchane, dojeżdżam, gdzie trzeba. Ledwie wysiadam, ogarnia mnie fala mdłości. Wiem, co by mi pomogło, ale tego akurat nie mam. Ani krztyny.

Drzwi domu otwiera mi ojciec.

- Kieszenie... - mówi na przywitanie, więc wywracam je na drugą stronę. - Nie wolno ci wychodzić poza bramę. Nigdzie. Do chwili, kiedy się nie zdecydujesz na wizytę u specjalisty.

Tak więc przemowa matki odniosła efekty. Mężczyzna bierze sprawy w swoje ręce -

myślę, wlokąc się do siebie. Mam ochotę na dużo jedzenia, najpierw muszę się jednak przebrać. Widzę, że pokój pod moją nieobecność został przewrócony do góry nogami. Bez zacierania śladów.

- To ty? - pytam ojca.

- Ja - przyznaje.

Jego wyznanie sprawia mi rodzaj ulgi. Nie zniósłbym, gdyby to była Gienia.

- A co ze szkołą? - pytam. - Jeszcze przez tydzień są lekcje.

- To znaczy, będziesz miał braki... - ironizuje.

Niedługo wyjeżdżam do Anglii. Szesnaście dni, obliczam szybko, jakoś to wytrzymam. Zdaje się czytać w moich myślach.

- Oczywiście, o wyjeździe zapomnij... - słyszę, ale jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

- Przecież wszystko jest już załatwione. Zapłaciliście za ten obóz... - przypominam słabo. Wstrząsają mną dreszcze.

- Miewaliśmy w życiu większe straty - mówi.

Trochę go nawet podziwiam w tej roli, szybko się jej nauczył... Gdybym nie wiedział, że gra, mój podziw byłby pewnie jednak większy. Przez chwilę zaprzęta mnie również reżyser, pociągający z oddali za niewidzialne sznurki. Odlepiłem się wczoraj od drzwi w trakcie rozmowy. Nie wiem, jak długo trwała. Nie wiem, co jeszcze miała matka do powiedzenia na mój temat. A może on też coś miał?

- Aha, jeszcze jedno... - Odwraca się od drzwi, zamierzał już mnie opuścić. - Oddaj mi klucze, proszę.

- Klucze? - powtarzam wolno, próbuję zebrać myśli, ale to nie jest łatwe.

Czuję, że pudło z kluczami w mieszkaniu Komety wzbogaciło się o kolejne eksponaty. Rąbnęła mi już drugi komplet - myślę z mieszaniną paniki i podziwu.

- Nie wiem, gdzie są... Nie będzie mi łatwo teraz cokolwiek tu znaleźć... - Unoszę się gniewem, dodaje on pozorów prawdopodobności temu, co mówię.

- Masz dużo czasu na szukanie... - słyszę jeszcze, zanim wychodzi.

HAIKU 11

Rzyk - fizyki

Wypadło

na ciebie.

Dopiero po południu ktoś podnosi w mieszkaniu Komety słuchawkę. To Dorota.

- Co u ciebie? - pytam ostrożnie.

Jest ożywiona. Już wie, w jakim regionie Hiszpanii będzie kiedyś mieszkać. Rzuca kilka egzotycznych nazw, słucham jej nieuważnie.

- Spotkamy się? - pyta.

„Ona jest o mnie zazdrosna” - przypominają mi się słowa Komety.

- Mam szlaban na wychodzenie z domu. I przyjmowanie gości. - Wypowiadając to, myślę, że wizyta u lekarza to niezbyt wysoka cena za wolność.

- Dlaczego? - W jej głosie brzmi zdumienie.

- Rozmawiałaś dziś z Alą? - odpowiadam pytaniem na pytanie.

- Niewykonalne. Ostatnio była w chałupie wczoraj wieczorem. Ktoś zadzwonił i wyszła. Nie wróciła do tej pory. Starzy są wściekli. To się jej coraz częściej zdarza.

- Tym kimś byłem ja - przyznaję. - Spędziliśmy razem noc. Nie w tym sensie, jak myślisz - dodaję spiesźnie.

- Skąd wiesz, co ja myślę? - Nie jest już tak rozluźniona jak na początku rozmowy. - Gdzie ona teraz jest?

- Pojęcia nie mam. Rano już jej nie było. Moich kluczy też nie. Błagam cię, jak wróci, poproś, żeby mi oddała. Niech zadzwoni, to coś wymyślimy... - Czuję się idiotycznie. Więzień we własnym domu. Dorota milczy, cisza się przeciąga. - Kometa twierdzi, że zmyślasz - mówię wreszcie. - Z jej chorobą, no i w ogóle, no wiesz...

Dorota parska śmiechem.

- Ona zawsze zaprzecza wszystkiemu, co niewygodne. Po co miałabym kłamać?

- Nie wiem...

- Chyba nie wierzysz narkomance? Dla ludzi uzależnionych kłamstwo to bułka z masłem. Element manipulacji. I to jest najgorsze dla otoczenia. Nie wiesz, czego się trzymać.

Nie podoba mi się to uogólnianie. Zastanawiam się, co powiedzieć. Milczę tylko z powodu natłoku pytań, które kłębią się w mojej głowie. Nagle świta mi genialna myśl.

Przecież możemy sobie pogawędzić inną drogą. Czasem łatwiej jest coś opowiedzieć, ukrywając nie tylko twarz, ale i głos. Można ostrożnie dobierać słowa. Można je zmieniać.

- Masz maila? - pytam, a kiedy przytakuje, wymieniamy się adresami.

- Kłamałeś, mówiąc mi, że nie ćpasz, prawda? - słyszę jeszcze.

Sądziłem, że rozmowa jest skończona. Pytanie, a właściwie odpowiedź na nie sprawia mi kłopot. Bo nie jestem uzależniony, ale coraz częściej mam na coś ochotę.

- Wtedy tak myślałem. A teraz nie wiem... - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Różnie... - dodaję. - Wczoraj przedawkowałem.

- Napiszę ci coś o tym - mówi i już jej nie ma.

W północy próbuję sobie to wszystko poskładać, ułożyć z małych kawałków puzzli jakąś całość, jakakolwiek by ona była, ale nic do siebie nie pasuje. Jedne fragmenty nijak się nie mają do drugich. Niektórych brakuje. Światy Komety i Doroty... Czy ksywka Ali ma jej pomóc w rozproszeniu ciemności? Czy Dorota jest samym światłem? Ciemność jest drugą stroną światła, nie mogą bez siebie istnieć, tylko przeciwieństwa się uzupełniają... Próbuję znaleźć w tym jakąś logikę. Bliźniaczki dwujajowe - powtarzam w kółko, jakbym chciał znaleźć klucz w genetyce, płytkie drzemki rwą mi myśli na strzępy, nie pozwalają zbudować logicznej konstrukcji.

A ja? Jak to jest ze mną? Nagle siadam, jakby świadomość siebie była zbyt przykra, aby można było ją znieść w pozycji relaksu.

Wraz z odejściem Michałka mój świat rozpadł się jak skorupka jajka: na to, co było, i to, czego już nigdy nie będzie. Teraz przypominał szwajcarski ser, usiany dużymi czarnymi dziurami. Ginęło w nich coraz więcej. Kiedyś jedna z dziur pochłonie mnie całego - pomyślałem. Nieuchronność zbliżającej się dziury była tak koszmarna, że zachciało mi się w nią wskoczyć jak najszybciej, żeby to już mieć za sobą.

Trafiony zatopiony, na kogo wypadnie, na tego bęc. Wypadło na mnie.

Z odrętwienia wyrywa mnie dzwonek telefonu.

- Kometa? - bąkam półprzytomnie, bo chciałbym, aby to była ona.

- Słucham? - zdumiony głos Mata budzi mnie natychmiast.

Próbuję mu wyjaśnić w skrócie swoją sytuację, ale przerywa mi dość szybko.

- Mam złą wiadomość. Grzesiek wylądował na „erce”. Podobno bardzo z nim krucho. Jego matka szaleje. Nie chce uwierzyć, że on ćpał. Nie miała o tym pojęcia.

Przypominam sobie, jaka była z niego dumna. Jedyńcazek. Oczko w głowie. Prymus. Cudowne dziecko. Nadzieja polskiej matematyki.

„Rzyzyk - fizyk” - brzmi mi w uszach jego śmiech. Na kogo wypadnie, na tego bęc.

Wypadło na ciebie - myślę, jest mi znów niedobrze.

- Nie znał umiaru... - słyszę głośnienie Mata. - To się zawsze źle kończy. Ja na przykład...

Oddalam słuchawkę od ucha, nie interesują mnie przykłady Mata ani on sam. W przeciwieństwie do Grześka. To był... to jest mój kumpel. Nieważne, że rzadko go widywałem. Ten facet to ktoś. Ćpał, bo go zżerała ambicja. Bo chciał być jeszcze lepszy.

Zaczynam się zastanawiać, czy zawsze jest jakieś „bo”. I jakie jest moje. Przypomina mi się Danka i mój pierwszy skręt. No i skręt Michałka...

Słyszę, że Mat coś wrzeszczy.

- Co się stało? - pytam.

Pada niecenzuralna odpowiedź i połączenie zostaje przerwane.

Jak to wszystko mija... Niedawno cierpiałem z powodu Danki, a teraz obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Myślałem, że może zastąpi ją Kometa, ale... Moje myśli skaczą od jednej bliźniaczki do drugiej. A potem nieuchronnie wracają do Grześka. I czarnych dziur.

Przypomina mi się, że miałem pogawędzić elektronicznie, więc siadam przed komputerem. Nowych wiadomości: pięć. Reklama jakiegoś koncertu, ktoś zbiera podpisy, aby uratować zagrożoną przez przemysł dżunglę Amazonii, zaproszenie na festiwal Kubańskiej Nowej Fali, Dorota, Dorota...

Obiecałam Ci opowiedzieć o heroinie - czytam. - Piszę Ci o tym tak na wszelki wypadek, gdybyś przypadkiem nie wiedział. Na początku bierzesz po to, żeby Ci było dobrze. I jest Ci dobrze. Krótko, bo potem sam wiesz, jak się czujesz. Ale bardzo szybko bierzesz, żeby w ogóle móc żyć. Bo to jest chemia. Kiedy próbujesz przestać brać, męczysz się tak strasznie, że niewielu może to wytrzymać. Są różne detoksy i tak dalej, to działa, ale trzeba mieć siłę. Nie wiem, czy ty masz. A potem jest tylko Wielkie Nic. Czasem przedtem, jeśli przedawkujesz. Ala to wszystko wie, ale ona chyba już wybrała. Tego dnia, kiedy nas spotkacieś razem, obiecywała mi, że nie będzie ćpała. Ale zaczął się atak i... sam widziałeś, jak to wyglądało. Więc lepiej przestań eksperymentować, bo Ty chyba wciąż jesteś na tym etapie. Chyba że też wybrałeś Wielkie Nic...

Przeskakuję do kolejnej wiadomości. Czytam ją w kółko, znaczenie słów dociera do mnie bardzo wolno.

„Ty draniu! Jak mogłeś coś takiego zrobić mojej siostrze?! Jest tak przestraszona, że cały czas się trzęsie. Jak dojdzie do siebie, pójdziemy na policję”.

Kiedy już znam tekst na pamięć, odpisuję pospiesznie:

„Nie wiem, o czym piszesz. Co się stało? Nie tknąłem jej...”

Oblewa mnie zimny pot. Gdzieś w zakamarkach pamięci odzywa się śmiech Komety, fruwiąc czerwone balony, maszerują ku mnie bliźniaczki z kijami... Dotykam czubka głowy i syczę z bólu. Nie wiem, dlaczego mnie uderzyła.

Wysłałam jednak wiadomość, a potem jeszcze i jeszcze jedną.

Sama mówiłaś, że ona ciągle kłamie, a teraz jej wierzysz.

Zadzwońcie do mnie, jak najszybciej!

Sam też próbuję, ale słyszę po drugiej stronie obcy kobiecy głos i odkładam słuchawkę.

*

Ojciec po powrocie z pracy zachowuje się jak generał. Bez przerwy wydaje polecenia. Gienia płacze się we własne nogi i ręce od nadmiaru zadań, ja jeżdżę z kosiarką, mimo że już zmierzcha, przez jej warkot nie mam szans usłyszeć żadnego telefonu. Gdy ktoś dzwoni do bramy, zastygam bez tchu. Pewnie policja - myślę, ojciec idzie otworzyć, z kimś rozmawia, nie wpuszczając go do środka, wraca, pokazując mi gestem, żebym robił swoje. - Kto to był? - pytam.

- Twój kolega - mówi.

- Jaki kolega? - nalegam.

- Nie przedstawił się, a mnie to nie interesowało.

- Co mu powiedziałeś?

- To moja sprawa. Jak z kluczami?

- Poszukam jutro...

Podnosi brwi, patrzy jak zwykle metr ponad moją głowę.

- Poza tym możemy wybrać się do lekarza - słyszę jeszcze swój głos. Poza tym... - Jeśli, oczywiście, będziesz miał czas...

Patrzę na siebie z podziwem. Podziwiam swoje brudne adidas i duże dłonie o krótko obciętych paznokciach. Puchnę z dumy. O mało co, a znów stałbym się czerwonym balonem, ale przekłwa mnie ojciec:

- Nie możesz tam zjawić się naprany. Skoro twierdzisz, że nie jesteś uzależniony, przerwa w braniu to dla ciebie pestka. Więc zrób przerwę i przemyśl sobie wszystko. Ośrodki terapeutyczne są po to, żeby pomagać tym, którzy chcą przestać ćpać na zawsze. Zastanów się, czy jesteś gotów spróbować.

A ty, czy jesteś gotów? - chciałbym zapytać. Bo może powinniśmy tam obydwaj być w charakterze pacjentów...

- Pojutrze wylatuję do Stanów. Na dziesięć dni. Jutro zadzwonię do ośrodka i umówię cię po moim powrocie.

Patrzę kątem oka, jak porządkuje garaż. Przez płot miga mi Krzyś, a potem jakiś drugi w jego wieku. Masz już nowego przyjaciela - myślę. A potem zaczynam spekulować, kto chciał mnie odwiedzić i po co. Może już coś wiadomo o Grześku. Może mu się polepszyło. Albo... Wolę o tym nie myśleć.

Matka wraca późno. Czekam, kiedy do mnie przyjdzie, pewien, że będzie chciała porozmawiać. A raczej mi nawrzucać. Ale nic takiego się nie dzieje. Dom jest pogrążony w ciszy, jakby wymarły. Nie słychać kroków ani rozmów, telewizora ani muzyki. Jestem w grobie - tłucze mi się po głowie. Przez chwilę siedzę przy otwartym szeroko oknie, noc jest jeszcze bardziej upalna niż wczoraj. Włączam Internet. „Brak nowych wiadomości” - czytam. Czuję straszne zmęczenie, ledwie udaje mi się dopełznąć do wyra, zasypiam w ubraniu.

HAIKU 12

*Nad lewą piersią
litera H
w sercu z liści.*

Mój sen jest wpadaniem do studni. Próbuje zaczerpnąć oddechu, ale nie mogę. Coś zatyka mi usta i nos. Słony, nieznaną ciężar. Otwieram oczy. Nie mogę krzyknąć, bo jej ręka leży na mojej twarzy. Udaje mi się ją przesunąć na tyle, aby się nie udusić. Nawet w skąpym nocnym świetle widać jej łysą czaszkę. Bierze moją rękę i przejeżdża nią po swojej głowie.

- Lubisz długie włosy, prawda?

Zaczynam się jej bać. Tak jak małe dziecko boi się ciemnego pokoju. W którym wszystko może się zdarzyć.

- Po coś tu przyszła? - szepczę.

- Żeby ci zrobić dobrze. I sobie też... - Wyciąga się koło mnie, próbuje mnie dotknąć, zrywam się na równe nogi. Najgorsze jest to, że jej pragnę. Jak się pragnie zakazanego owocu.

- Oddaj klucze... - Wyciągam rękę, ale nie reaguje.

- Potrzebne mi są pieniądze - mówi głośno. Za głośno na nocną porę i swoją tu obecność. Przykładam palec do warg.

- Mnie też - przyznaję. - Masz jakiś pomysł?

- To ty masz mieć - oznajmia.

- Idź stąd. - Zaczynam być wściekły.

Kometa wyciąga z kieszeni niewielką paczuszkę.

- Mam dla ciebie prezencik.

Wbrew sobie wyciągam rękę. Śmieje się, chowając herę z powrotem do kieszeni.

- Nie tak szybko. Najpierw ureguluj długi. Myślisz, że ciągle będziesz ćpał na krechę?

W portfelu mam jakieś drobne, nic poza tym.

- Innym razem - mówię.

Zapala światło, a potem ściąga podkoszulek. Patrzą w osłupieniu na duży kolorowy tatuaż nad lewą piersią. Litera H w sercu z liści.

- Hera moja miłość... - zaczyna śpiewać.

Zatykam jej usta dłonią. Wydaje mi się, że słyszę za drzwiami jakiś ruch. Wolną ręką

przyciskam kontakt i znów ogarnia nas ciemność. Czuję nagły ból. Kometa ugryzła mnie w palec. Skąd ja to znam? Puszczam ją. Stoimy naprzeciwko siebie, mogąc się jedynie domyślać swoich twarzy.

- Coś naopowiadała Dorocie? - szepczę. - Że ogoliłem cię na łyso? W dodatku wbrew twojej woli?

- Najpierw chciałeś mnie udusić - oznajmia. - Nie poszłam na policję, bo wolę dostać od ciebie forszę.

Udusić. Ja. Najpierw...

- To szantaż? - Wydaje mi się, jakbym grał w jakimś filmie. Wszystko jest takie nierzeczywiste. Łącznie ze mną samym.

Nie wiem, kim ja jestem w jej oczach. Ona jest... Odtwarzam w pamięci to, co kiedyś powiedział o niej Mat, a potem Dorota. Najpierw chciałem być jej chłopakiem, potem bratem, teraz mam ochotę ją stłuc jak krnąbrne dziecko.

- Jak za pięć minut nie dasz mi forsy, zacznę krzyczeć.

Wiem, że jest do tego zdolna. Przypominają mi się pieniądze, które dostaje Gienia na zakupy. Leżą zawsze w kuchennym koszyczku.

- Poczekaj. Zaraz wrócę - szepczę.

- Cztery minuty... - dobiega mnie za plecami.

Dopadam kuchni w paru susach, opróżniam koszyczek, widzę, że jest tego sporo, po chwili namysłu zostawiam na dnie samotną dychę.

- Masz... - Chcę jej dać pięćdziesiątkę, prycha pogardliwie.

- Nie przyszedł tu na żebry. Masz jeszcze minutę.

- Sto wystarczy? - pytam spieszenie.

- Cztery razy po sto. Jak na dzisiaj.

- Trzy. Plus klucze - zaczynam się targować.

- To ja wyznaczam warunki. - Wyjmuje coś z plecaka, wkłada na głowę i znów zapala światło. Jej czaszkę pokrywa teraz bujna ruda czupryna. - Ładnie? - pyta.

W normalnych warunkach przyznałbym, że bardzo. Teraz chcę tylko, by się wyniosła.

Zanim mówię cokolwiek, zmienia nakrycie głowy na czarne, w stylu afro.

- Jutro kupię sobie siwą - oznajmia, chowając trzy stowy do kieszeni. - Pokażę ci się, jak przyjdę po resztę. Potrzebuję jeszcze tysiąc.

- Oszalałaś - mówię spokojnie. - Nie mam forsy, już ci powiedziałem.

- A to? - Wskazuje mój sprzęt grający, a potem aparat.

- Spadaj - proszę miękko.

Wyskakuje przez okno i biegnie w stronę bramy. Gdzieś w sąsiedztwie szczeka pies. To wasza wina, że nie tutaj - przypominam sobie niedawną rozmowę. Już byście ją mieli. Nagle żałuję, że nie zaczęła wrzeszczeć.

Nie. Nie chcę, żeby stało się jej coś złego. Coś jeszcze gorszego, niż już jej się stało. Bo bardziej wierzę Dorocie.

Po Komecie został jedynie ślad słodkiego zapachu i mała paczuszka na parapecie. A więc jednak zostawiła mi coś na pokuszenie. Chowam ją do kieszeni kurtki. Kładę się, ale teraz nie mogę zasnąć. Myślę o tym, co będzie jutro, kiedy Gienia odkryje brak forsy, o Grześku w szpitalu, o jego matce, wreszcie o bliźniaczkach. Tylko o sobie staram się nie myśleć w ogóle. Stopniowo odkrywam ze zdumieniem, że nie tylko o sobie staram się nie myśleć, ale jeszcze bardziej o tym, co mam w kieszeni kurtki. Bo tak naprawdę to jest myśl numer jeden.

Nawet nie sprawdziłem zawartości. Może to wcale nie jest to, co myślę. Próbuję zatrzymać się w łóżku, ale jedna noga już mi się wymyka, a za nią druga, to one decydują, że idę do wieszaka, mam im to za złe. Ręce też wydają się żyć własnym życiem, rozwijając folię. Działka brauna i trochę ziela.

Hera łąduje znów w kieszeni, ziela starczy na dwa skręty, nie więcej, marzy mi się dymek, nie, nie mnie, nie mam z tym nic wspólnego. Moim palcom marzy się zrobienie skręta, a moim płucom dym. Czasami trzeba zrobić coś dla ciała, nie tylko dla ducha - przekonuję siebie, ulegając cielesnym zachciankom. Staram się nie myśleć o ojcu i czekającej mnie wizycie. To jeszcze odległa przyszłość. Nie będę martwił się na zapas.

A potem włączam komputer.

Przed chwilą wyszła stąd Twoja siostra. Najpierw była łysa, potem ruda, a w końcu czarna. Albo ma kłopoty z tożsamością, albo planuje jakiś skok. Tak czy owak, ja nie mam z tym wspólnego. Ani z jej łysą czaszką, ani tatuażem. Nie pamiętam również, abym ją dusił, co sugerowała. Sprawdź, proszę, o której do Ciebie piszą, a zrozumiesz, że była to raczej niekonwencjonalna wizyta. Błagam Cię, zabierz jej moje klucze. Ma je w plecaku. Inaczej będzie tu wracać. Dzisiaj wyłudziła ode mnie trzy stowy. Mogę mieć kłopoty. Pomóż mu..

Zastanawiam się, dlaczego żadnej z nich nie opowiedziałem o Michale. Uświadamiam sobie, że one właściwie nic o mnie nie wiedzą. Ich egocentryzm jest bezgraniczny: ich jako wątpliwej całości i każdej z osobna. Potrzebny im jestem, aby się we mnie odbijać jak w lustrze. A one mnie? Przecież to ja łąziłem za Kometą. To ja dzwoniłem do Danki... Nagle rola lustra wydaje mi się całkiem na moją miarę. A gdybym się chciał pewnego dnia odbić w którejś z nich? Jak to właściwie jest z odbiciem odbicia? Jestem pewien, że mógłby mi to

wytłumaczyć Grzesiek. O ile...

Wysłałam maila, ekran wciąż mruga do mnie zachęcająco. Myślę sobie, ilu takich jak ja na całym świecie siedzi w tej chwili przed migającymi ekranami i dlaczego. Ilu z nich mieszka w domu zbliżonym do mojego, z matką, ojcem i gosposią. Liczba gwałtownie maleje. Ilu z nich ćpa. Ilu miało braci, którzy już nie żyją. Ilu czuje się winnymi ich śmierci.

Moje poczucie osamotnienia wzrasta z każdą chwilą. Skręt miał mi poprawić nastrój, tymczasem czuję się coraz bardziej podle. Wszystko jest wielkie. Ostateczne i majestatyczne. Zamykam na chwilę oczy. Pod powiekami wyrastają mi schody do samego nieba. Wspinam się po nich z mozołem, ale niebo nie przybliży się ani o metr. Na samym szczycie, oparty swobodnie o chmurę, siedzi na stopniu Misiek. Ma na kolanach piłkę. Nagle piłka zsuwa się, a może on ją zrzuca, toczy się w dół, coraz szybciej, wprost na mnie, jest coraz większa i większa, nie, to nie piłka, to czarna dziura...

Ekran też jest już ciemny, przelatuje po nim rzadki gwiazdny pył.

HAIKU 13

*Samotny
jak zapomniany
ziemniak.*

Wsunąłem się do dziury niedługo po nocnych wizytach Komety. Bo nie skończyło się na jednej. Oddała mi klucze, abym mógł zwrócić rodzicom, było jednak jasne, że dorobiła sobie komplet.

Za zaginięcie pieniędzy odpowiedziała Gienia. Grażyna przypuszczała już wcześniej, że podbiera drobne sumy, i zaczęła wątpić w jej uczciwość, tuż zanim zwędziłem forszę. W ten sposób zostałem poza podejrzeniami, Gienia wróciła do siebie, a wszyscy odetchnęli z ulgą. Jako więzień otrzymałem zadanie utrzymywania domu w czystości.

Zachłanność Komety zaczęła mnie w jakiś sposób fascynować. Oddałem jej mój aparat, a potem pierścionek i wieczorowy zegarek matki.

Szybko uświadomiłem sobie, że oddałbym wszystko, byle tylko o mnie nie zapomniwała. Zaczynałem uzależniać się od jej szaleństwa. Była nieobliczalna, zdolna do wszystkiego. Lubiłem się jej bać. I wiedziałem, że w końcu matka - mimo kamiennego snu po proszkach, bez których nigdy się już nie kładła - kiedyś się obudzi. I że ojciec wróci ze Stanów. Że nawet jeśli pójdziemy do ośrodka, oni się zorientują, że ciągle biorę. Że wszystko się wyda i nastąpi wielkie Bum.

Czekałem na nie. Nie mogłem się doczekać. Po takiej burzy powietrze musi się oczyścić albo spłonie las. Czekałem na pożar.

Kiedy trzeciej kolejnej nocy się nie pojawiła, ogarnął mnie niepokój. Po każdej wizycie Kometa zostawiała mi na parapecie nagrodę, ostatnio dosyć hojną. Nagradzałem się zwykle przed świtem, zaraz po jej wyjściu.

To było jak gra. Okradałem dom, czekając na reakcję matki, ale jeszcze niczego nie zauważyła. Areszt z każdym dniem mniej mnie irytował. Cóż mogło takiego się zdarzyć poza murami ogrodu? W ciągu dnia spałem, surfowałem po Internecie albo dzięki paczuszkom Komety odbywałem dalekie podróże. Nic mnie już nie bolało. Nawet uparta nieobecność Michała. Ani to, że matka mnie unika. Wszystko stawało się cudownie obojętne. Wiadomość o śmierci Grzeška przyjąłem jak newsa z telewizji. Czułem się dobrze, nie ćpałem jak wariat, kontrolowałem sytuację.

Zacząłem gryzmolić różne rzeczy. Niektóre z nich przypominały wiersze. Pamiętam fragment jednego z nich:

*Człowiek
samotny
jak zapomniany ziemniak.
Jego przyjaciółmi
jedynie
szalone króliki
na pustym polu.*

Wysłałem go Dorocie. Odpowiedziała natychmiast, jakby czekała na jakiś znak życia ode mnie. Albo od kogokolwiek.

Głupio mi, że tak się dałam podejść Ali. Naprawdę jej uwierzyłam, że się na nią rzuciłeś, najpierw chciałeś udusić, a potem przywiązałeś do drzewa i ogoliłeś na zero. Opowiadała to tak przekonująco! Trzęsa się i płakała. Ludzie pod wpływem używek robią różne straszne rzeczy... Zrozum, ona jest moją siostrą. Chociaż czasem nie mogą w to uwierzyć... Przelatywałem niecierpliwie wzrokiem kolejne linijki, nie chciałem tego czytać, nie chciałem słyszeć niczego złego o Komecie. Nie odpisałem na tego maila. Ani na następne.

*

Tej nocy, kiedy nastąpiła katastrofa, Kometa była bardziej naćpana niż zwykle. Nawet nie próbowałem ukryć radości z faktu, że ją widzę.

- Powinnaś mieć na imię Hera, nie żadna Kometa. Hera, moja siostra. Hera, moja miłość... - Przytuliłem ją do siebie.

Chwilę trwała tak, sztywno i nieruchomo, a potem spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami bez światła.

- To jest moje drugie imię, od dawna. Myślałam, że wiesz o tym. Imię chrzestne. - Roześmiała się głośno. - A teraz będziemy tańczyć.

Wtedy wiedziałem już, że to musi nastąpić. Byłem w podniosłym nastroju, jakbym za chwilę miał być świadkiem na czyimś ślubie. Bo od jakiegoś czasu czułem się wciąż jak świadek, nie jako uczestnik.

Wrzask muzyki ogłuszył mnie samego.

Stała na głowie, półnaga, jej sztuczne rude włosy ułożyły się malowniczo na podłodze,

gdy weszła matka.

- Idź sobie - powiedziała dziewczyna, nie zmieniając pozycji.

Obserwowałem to jak widz w kinie, ciekawy, co się za chwilę wydarzy. Matka podeszła wolno do wieży i wyłączyła odtwarzacz.

Kometa wróciła do normalnej pozycji. Nie wydawała się speszona swoją nagością. Wyjęła z kieszonki paczuszkę i wyciągnęła ją w stronę Grażyny.

- Chcesz spróbować?

- Wynoście się stąd. Obydwoje. Natychmiast. - Dopiero teraz zapaliła światło.

Patrzyła na tatuaż Komety, nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Piękny, prawda? - Dziewczyna zbliżyła się do niej. - Mogę ci też taki załatwić.

Matka zamachnęła się i z całej siły uderzyła ją w twarz. Z jednej, a potem z drugiej strony. Peruka Komety zsunęła się na podłogę, Grażyna krzyknęła.

- Co robisz?! - Chwyciłem ją za nadgarstki. Odepchnęła mnie.

- Obydwoje. Natychmiast... - powtórzyła głosem, którego nie znałem.

Kometa stała nieruchomo, z wysoko podniesioną głową.

- Chodź, malutka... - Niezdarnie włożyłem jej podkoszulek, a potem perukę.

Poddawała się moim zabiegom biernie i obojętnie.

Wyszliśmy przez okno.

*

Kiedyś, myśląc o czarnych dziurach, przedstawiałem je sobie jako symetryczne jednorodne czarne walce. Wpadało się do nich gwałtownie i niespodziewanie, a potem był długi lot w pustce i ciemności.

Kto nigdy nie był w takiej dziurze, nie wie nic. Ani o życiu, ani o śmierci, ani o istocie szwajcarskiego sera.

Rzadko kto wskakuje do takiej dziury jak mysz do norki. Bo czarna dziura nie jest schronieniem, ale wbrew pozorom jego przeciwieństwem. Ciemność nie chroni tu przed światłem, ale rozjarza je do blasku, od którego najkrótsza droga prowadzi do ślepoty. A więc wychodzi na to samo.

Znakomita Większość (wielka litera użyta jest tu celowo, dla podkreślenia ilości owej Większości) wsuwa się do dziury stopniowo i - rzecz by można - mimochodem. O ile jednak wsunięcie się mimochodem nie dostarcza żadnych trudności, o wysunięciu się Większość może jedynie pomarzyć. Bo dziura wciąga. Jej siła grawitacji przekracza wielokrotnie siłę przyciągania ziemskiego.

Czarne dziury nie mają nic wspólnego z ciszą i spokojem. Pełne są wrzasków i jęków, szeptów i dudniącej muzyki. Przypomina ona do złudzenia dźwięki wydawane przez odstraszacze kretów. Paralela nasuwa się zresztą w sposób oczywisty, jako że mieszkańcy dziur upodabiają się do tych stworzonek bardzo szybko. Bez obrazy dla kretów, chodzi jedynie o strach przed światłem i konieczność przystosowania się do życia w ciemnościach.

Bywają dziury płytkie i głębokie. Kręte jak jelito grube i proste jak naciągnięta struna skrzypiec.

Najgorsze w dziurach jest to, że nie ma się w nich gdzie schronić. Na próżno byście tam szukali azyli i ciemnych zakątków. Z samej swojej istoty dziura jest schronieniem. Ale szybko można się do niego przyzwyczaić i już czymś takim być przestaje, a nie ma czerni czarniejszej i głębszej. Dlatego ci odważniejsi i ci, którzy boją się najbardziej, wolą już oślepnąć i ryzykują zetknięcie ze światłem.

W dziurach czas jest pojęciem jeszcze bardziej abstrakcyjnym, niż jest nim w istocie. Nie ma dni ani nocy, ani pór roku. Mieszkańcom dziur wydaje się, że panują nad czasem, podporządkowując go bez reszty swoim potrzebom, jest to jednak pozorne, jak pozorne jest ich poczucie wolności. Nie ma bowiem ciaśniejszego więzienia jak to, które sobie sami zbudowali.

Ich związki z tym, co na górze, słabną, stąd też potrzeba wydostania się z więzienia stopniowo maleje.

Zdarza się, że ktoś z góry zapuści się w czarny labirynt, próbując odszukać kogoś zaginionego. Ale nawet jeśli go znajdzie, przy bliższym przyjrzeniu się stwierdza, że to ktoś obcy, przypadkowa zbieżność rysów, budowy ciała i dokumentów, o ile takowe istnieją. Niektóre uparciuchy, nie zważając na wszystko, decydują się pomóc tej nieznanym osobie wydostać się na powierzchnię, są to zwykle ludzie opętani miłością i nadzieją.

HAIKU 14

*Uśmiecham
się
ostrożnie.*

Leżę w łóżku, obok mojej unieruchomionej ręki, wgapiony w rurkę do zawieszzonego wyżej pojemniczka. Kapią z niego krople życia. Teraz to one odmierzają mój czas.

Na sąsiednich łóżkach widzę kilku innych w piżamach w paski. Nie pamiętam, skąd się tu wzięłam. Czuję się okropnie. Próbuję zadać jakieś pytanie, ale nie mogę wydobyć głosu. Zapadam się w niebyt ze świadomością, że zostałam niemową.

Gdy znów otwieram oczy, widzę wbity we mnie wzrok nijakiego chłopaka. Pamiętam cię, powiedziałbym do niego, gdybym umiał mówić, jesteś inkasentem za gaz. Nie rozumiem tylko, dlaczego nosi biały kitel, ale nie jest to jedyna rzecz, której nie rozumiem, więc przestaję sobie nim zaprzętać głowę.

- Jacek? - słyszę, ja też tak mam na imię. Inkasent gapi się na mnie, a potem podchodzi bliżej, bardzo blisko. - Kuzyn Justyny?

Coś mi zaczyna świtać w zakamarkach pamięci, mieli być nad Morzem Czarnym, więc co on tu robi? Kiwam tylko głową, a potem zamykam oczy.

We śnie wraca do mnie Kometa. Odwiedza mnie na zmianę z Michałem. Michał jest bardzo mały, zupełnie nie urósł, a Kometa jest cała w bandażach. „To okropnie swędzi” - słyszę jej głos, próbuje je zerwać.

Otwieram oczy, mój sąsiad ciężko chrapie, znów przypomina mi się, jak Kometa zaczęła się drapać, najpierw całkiem niewinnie, a potem nie mogła przestać, drapała się tak, aż ociekała krwią.

Muszę się dowiedzieć, co teraz robi, myślę, ale moje myśli nie mają w sobie woli, są miękkie i bezwładne jak plastelina.

Próbuję sobie odtworzyć, co było przed szpitalem, to znaczy zaraz przed, bo przecież coś musiało być, ale spływam potem, więc już nie myślę, tylko trwam jak trująca roślina. W moich wspomnieniach tkwi zrujnowany dom i zdziczała jabłonka, chudy pies, mój pies, gdzie jest mój pies?

- Gdzie jest mój pies?! - zaczynam wrzeszczeć, a więc jednak nie jestem niemy, upajam się siłą własnego głosu...

- Cicho! - krzyczy ten od chrapania, po chwili do sali wpada sanitariusz, a za nim siostra, dostają jakiś zastrzyk, psa coraz bardziej nie ma, niczego nie ma, mnie też już nie.

*

- Szukałem cię - mówi ojciec.

Siedzi na taborecie przy moim łóżku. Z trudem skupiam wzrok na jego twarzy. Coś jest w niej obcego. Patrzy mi w oczy. Po raz pierwszy, od kiedy pamiętam.

Nic się nie odzywam, czekam, co będzie dalej.

- Nie miałeś przy sobie dokumentów. Rozpoznał cię chłopak Justyny. Jest tu na praktykach. Studiuje medycynę. Szczęśliwy traf...

Słyszę bębnienie deszczu o parapet, odwracam z trudem głowę, widzę łyse gałęzie miotane wiatrem.

- To jesień? - pytam, a on kiwa głową.

Następnego dnia znów przy mnie siedzi. I kolejnego też. Kiedy pochyla się nade mną, czuję zapach alkoholu.

- Wyrzucili cię z pracy? - Przyglądam mu się, nie wygląda dobrze.

- Nie, ale jestem na niższym stanowisku.

Ostrożnie pytam o matkę.

- Wie, że tu jesteś. Sama do mnie dzwoniła...

„Dzwoniła”, ach, więc to tak...

- Dlaczego do mnie przyszedłeś? - Moje pytanie nie jest precyzyjne, bo siedzi tu codziennie. - Dlaczego tu jesteś?

Dziurawa pamięć wyłuskuje z odległej przeszłości słowa i zdarzenia, o których wolałbym zapomnieć. Zanim zmienili klucze, ogołociliśmy z Kometą dom ze wszystkiego, co nadawało się do sprzedania.

- Sam się nad tym zastanawiam - słyszę.

Dobrze, że nie kłamie...

- Jak już będziesz wiedział, powiedz.

Usłyszałem to po dwóch tygodniach. Wcześniej zresztą interesowało mnie głównie moje ciało i to, co się z nim dzieje.

- Siedzę przy tobie, bo tylko ciebie mam. I nie chcę być sam.

- Każdy jest sam - bąknąłem, choć to, co powiedział, zrobiło na mnie wrażenie.

- Moglibyśmy sobie pomóc. Gdybyśmy się zdecydowali... - przerwał, gdy rozdzwoniła się jego komórka. - Właśnie tu jestem - usłyszałem. - Chcesz z nim rozmawiać?

(...) Dobrze, powtórzę. To była twoja matka - rzucił, jakbym się tego nie domyślał. - Ciesz się, że żyjesz.

- Rozstaliście się? - spytałem.

- Jesteśmy w separacji. Próbujemy sprzedać dom. Na razie ja wynajmuję mieszkanie. Dwa duże pokoje, więc się zmieścisz...

- Nas jest dwoje... - mówię ostrożnie, myśli wyraźnie o Komecie, bo zaczyna się pocić, więc dodaję szybko: - Ja i pies. On tam został. Powiem ci, gdzie go możesz znaleźć. Ma na imię Ralf.

A potem nie mówię już nic, bo znów nadchodzi atak, moje nogi ważą tonę, głowa ucieka gdzieś na bok, jest wypełniona ciemną pustką, toczy się, niezależnie ode mnie, głowa - piłka, czarna dziura...

*

To jest dzielnica, której nie znam. Myślę, że latem musi tu być ładnie. Dom jest zadbane, czysty, żeby wejść do środka, trzeba minąć ochroniarza.

Wsiadamy do windy, gapię się w lustro, z tyłu widzę twarz ojca, dostrzegam między nami podobieństwo.

Gdy wkłada klucz do zamka, jego ręka drży. Z drugiej strony słyszę popiskiwanie, nie, to nie może być prawda, rozlega się szczekanie i już Ralf rzuca się na mnie, mój chudy pies. Jak ty się dałeś tu przyprowadzić, jak ojciec cię znalazł... Nie mogę zapanować nad łzami, czuję, że nie wszystko jeszcze jest stracone, że wystarczy bardzo mocno chcieć, a może nam się udać.

Mieszkanie jest przestronne, jest w nim dużo światła. Odnajduję swoje meble, książki, brak komputera, bo sam go wyniosłem, ale na biurku leży nowy aparat fotograficzny i kilka filmów.

Powinienem mu podziękować, ale nie potrafię. Może jutro albo za tydzień odnajdę właściwe słowa.

- Znalazł się twój portfel. Dzwonili z policji... - słyszę głos ojca. Podaje mi go, otwieram, legitymacja szkolna, karta rowerowa, zza niej wysuwa się zdjęcie.

Uśmiechnięty Michałek, a z tyłu żyrafy.

- Może gdybym wtedy nie wybrał się z nim do zoo... - zaczynam, a ojciec po raz pierwszy, od kiedy pamiętam, obejmuje mnie mocno. - Chciałbym, abyś wiedział, że nie dałem mu skrzydła. Sam sobie wziął. Wierzysz mi?

Czuję nagle, że od jego odpowiedzi zależy wszystko. Wszystko, co jeszcze ma szansę

się wydarzyć. Dobrego i złego.

- Tak - słyszę, coś jeszcze mówi, ale docierają do mnie tylko strzępy zdań, jutro mamy się zobaczyć z matką, on wziął trzymiesięczny urlop bezpłatny, założył, że stracę rok w szkole, bo na razie musimy się zająć sobą. Ralf liże mi ręce, za oknem ulewa się wzmaga, wszystko jest bardzo trudne, ale nikt nam nie obiecywał, że będzie łatwo, muszę zapomnieć o tym, co się nadaje do zapomnienia, bo jeszcze może nas spotkać wiele dobrego, jeżeli, jeżeli...

Przymykam oczy, pod powiekami widzę wysokie połoniny, wolne trawy, targane wiatrem, warto by kiedyś pojechać w Bieszczady, przemyka mi przez głowę i uśmiecham się ostrożnie do tej myśli.